Nr. 2. Poznań, dnia 12-go stycznia 1913. Rok XVII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . 2,— z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

PRACA

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 397.

OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

1863—1913.

Odezwa!

Dnia 22-go stycznia 1913 r. mija lat pięćdziesiąt, odkąd młodzież warszawska, wiedziona rozpaczą, natchniona głęboką miłością ojczyzny, ożywiona ideą wolności, rzuciła się do walki przeciw brutalnej przemocy caratu.

Odruch bohaterstwa polskiego skończył się dla nas krwawą tragedyą, wywołał straszny odwet barbarzyństwa. Po rozlewie krwi na polu walki polała się krew w cytadeli warszawskiej, w katorgach rosyjskich i po śnieżnych polach Sybiru.

W niwecz obróciły się złudzenia liczące na pomoc obcych i naród zrozumiał, że na siebie i własne tylko siły liczyć może. Rozczarowanie bolesne, ale zdrowe, sprawiło, że wysiłki nasze w innym poszły kierunku. Po epoce patryotyzmu bohaterów przyszła epoka patryotyzmu rozłożonego na drobne wysiłki stałej, codziennej, mrówczej pracy. Ale zrozumiawszy konieczność takiej pracy, nie cofamy się; owszem duch narodowy kroczy stale naprzód drogą ciągłych poświęceń każdego mocowania się, zawsze z płomienną wizyą jaśniejszego jutra. Jakimkolwiek był wynik powstania styczniowego, było ono w każdym razie czynem bohaterskim, było męczeńską ofiarą.

Chcąc uczcić pięćdziesiątą rocznicę powstania styczniowego, wzywamy wszystkie warstwy społeczeństwa naszego, aby zgodnie i wspólnie wzięły udział w narodowym akcie. Niechaj w dniu 22-im stycznia popłyną modły za poległych; niech społeczeństwo spełni wobec tych, co dla ojczyzny poświęcili mienie i życie, dług wdzięczności w postaci jak najpoważniejszych obchodów. Fundusze zebrane na weteranów z okazyi obchodów i przy innych sposobnościach prosimy przysyłać na ręce skarbnika Towarzystwa opieki nad weteranami, p. Dr. Schroedera.

Dr. Adamski Lubawa, Włodź. Adamski Poznań, Dr. Józef Adamczewski Berlin, Czesław Andrzejewski Poznań, Zdzisław Brzeski Manieczki, Bolesław Brodnicki W. Kołuda, Adolf hr. Bniński Gultowy, A. Biegański Potulice, K. Brownsford Poznań, Dr. Wł. Bolewski Krotoszyn, Dr. Tadeusz Bolewski Poznań, Dr. Budzyński Krotoszyn, Leon Czarliński Toruń, Kazimierz Chłapowski Kopaszewo, Dr. Stefan Chrzanowski Czechowo, Bernard Chrzanowski Poznań, Dembiński adw. Grodzisk, Antoni Dembiński Węgierce, Maryan Doerffer Kępno, Doerffer Zalesie, Jarogniew Drwęski Poznań, Ks. Kan. Grzęda Poznań, Wład. Grabski Kurcewo, Dr. P. Gantkowski Poznań, M. Holec Szubin, B. Hozakowski Toruń, Dr. Hempowicz Środa, Dr. Wład. Hedinger Poznań, Witold Hedinger Poznań, Ks. Bol. Jastrzębski Liszkow, Dr. Kubacz Gdańsk, Dr. Bol. Kapuściński Poznań, Kurzętkowski adw. Lubawa, Dr. Włodz. Krzyżankiewicz Król Huta, Dr. T. Kubacki Pleszew, Dr. Krysiewicz Poznań, Dr. Kolszewski Poznań, Kędzierski Poznań, Dr. Stan. Krzyżankiewicz Poznań, Dr. Karwowski Poznań, Drwa Kapuścińska Poznań, Ks. Ludwiczak Poznań, Dr. Moczyński Śmigiel, Dr. Mielęcki Katowice, Dr. Tad. Moszczeński Stempuchowo, Leon Skarbek Malczewski Odrowąż, Stefan hr. Mycielski Wolsztyn, Dr. S. Matuszewski Śrem, Dr. M. Marchlewski Gdańsk, Dr. Cz. Meissner Poznań, Dr. B. Marchlewski Poznań, Stan. Nowicki Poznań, Dr. Fel. Niegolewski Poznań, W. Niemojowski Śliwniki, Emilja Niegolewska Poznań, Drwa Niegolewska Poznań, M. Niemierkiewicz Poznań, Telesfor Otmianowski Poznań, Czesł. Leitgeber Poznań, Leon Leitgeber Poznań, Stanisław Pfitzner Poznań, Dr. Przybyszewski Inowrocław, Dr. Wł. Panecki Gdańsk, Jan Paczkowski Poznań, M. Powidzki Poznań, Stef. Ponikiewski Drobnin, Rom. Janta Połczyński Żabiczyn, T. Powidzki Poznań, Karól Rzepecki Poznań, Zdzisł. Rzepecki Poznań, Dr. Różański Rybnik, Dr. Karól Stark Poznań, Zygm. Seyda Katowice, Bron. Ruczyński Poznań, Stan. Rzepecki Poznań, St. Rzepecka Poznań, Dr. Mich. Schulz Poznań, Dr. M. Seyda Poznań, Dr. Fr. Schroeder Poznań, Wiesł. Tuchołka Marcinkowo Dolne, Dr. Juljan Trzciński Ostrowo n. Gopłem, Aniela Tułodziecka Poznań, Dr. Ant. Wierusz Dolsk, Zofia Wieruszowa Dolsk, Wyrzykowski adw. Szamotuły, Dr. Ksaw. Zakrzewski Poznań, Dr. M. Ziółkowski weteran z r. 1863 Poniec, Dr. Zygm. Zielewicz Poznań, Ulatowski Poznań.

Dalsze podpisy nadchodzą.

Bezpartyjność.

Temi dniami czytaliśmy w „Gazecie Warszawskiej“ artykuł p. Zygmunta Balickiego pod tym tytułem.

Już sam początek tej elukubracyi bardzo jest obiecujący. Czytamy tam: „Jednym z bożków, którym hołdy składa nasz analfabetyzm polityczny — to bezpartyjność“. Dowiadujemy się tedy, że na to, aby być bezpartyjnym, trzeba być analfabetą politycznym, czyli zupełnym nieukiem w rzeczach polityki.

To mało pochlebne zdanie o zwolennikach bezpartyjności doznaje jeszcze znacznego zaostrzenia w dalszym ciągu wywodów warszawskiego publicysty. Nie możemy odmówić sobie przyjemności zacytowania kilku ustępów.

I tak pisze p. Z. Balicki:

„Pojęcie obywatela bezpartyjnego zawiera już w sobie sprzeczność wewnętrzną, nadaje bowiem to miano człowiekowi, nie posiadającemu żadnych stałych zasad w życiu narodowem, ani żadnych określonych metod działania, wyłamującemu się z pod wszelkiej planowej i systematycznej akcyi zbiorowej w dziedzinie polityki i nie chcącemu ponosić żadnej w tym względzie odpowiedzialności.

Poglądy jego na dobro polityczne zmieniają się od wypadku do wypadku, każdorazowy zaś udział w czynnej akcyi politycznej polega na poparciu jednego z istniejących kierunków, którego stanowisko najlepiej mu w danej chwili odpowiada.“

I dalej:

„Bezpartyjnym w łonie własnego społeczeństwa może być tylko ten, kto nie jest organicznie, całą duszą ze swym narodem związany, dla którego „ja“ i „społeczeństwo“ są to dwie wielkości, stojące ze sobą w stosunkach zamiennych, kto więcej dba o to, aby być nim rzeczywiście, kto wreszcie na wszystko patrzy przez swój osobisty pryzmat, niezdolny jest z niczem zsolidaryzować się w zupełności i nie chce przeto za nic odpowiedzialności ponosić. „Niech inni łamią sobie głowę nad rzeczą publiczną i mozolą się dla niej: jeżeli się powiedzie — będę z nimi i będę ich chwalił, jeżeli nie — mogę przynajmniej głośno krytykować“ — oto istotne stanowisko żywiołów bezpartyjnych“.

Powołując się na żydów, typowych cudzoziemców w naszem społeczeństwie, jako na twórców prądów: beznarodowości, bezreligijności i bezpartyjności, pisze: „Gdzie te trzy kierunki zapanowały, tam niema już ani narodu, ani społeczeństwa, jest tylko ławica piasku sypkiego, który obca łopata w kupy układa lub wiatr po świecie roznosi.

Żywioły bezpartyjne są właśnie tym piaskiem. Sprowadzają one trzy opłakane zjawiska w naszem życiu publicznem: zmienność i chwiejność opinii, jej zamiłowawnie w bezpłodnem krytykowaniu, wreszcie osłabienie poczucia odpowiedzialności zbiorowej.“

Na koniec następuje pochwała stronnictw jako tych organizacyj, które w przeciwieństwie do bezpartyjnych są odpowiedzialne za swój program, za swoje czyny i ich następstwa. One bowiem posiadają tradycyę i ciągłość i ambicye i dążenia określone... „Z chwilą — tak kończy p. B. swój artykuł — gdy bezpartyjność stanie się synonimem obywatelskiego sobkostwa, nastąpi uzdrowienie naszego życia publicznego“.

Że w każdem społeczeństwie, a więc i w naszem, znachodzą się żywioły rzekomo bezpartyjne, do których charakterystyka dana przez p. Balickiego stosuje się w zupełności — zaprzeczać nie będziemy. Bezpartyjność istotnie może być i jest często parawanem dla wygodnych, bezmyślnych sobków unikających wszelkiej odpowiedzialności, dla ludzi obojętnych, lub niesfornych indywidualistów nie zdolnych wprządz się w rydwan jakichś stałych i konsekwentnych norm i metod politycznych, dla analfabetów politycznych i innych bezdusznych zjadaczów chleba.

Krytyka tego rodzaju „bezpartyjności“ bez kwestyi jest na miejscu. I nie ulega najmniejszej wątpliwości, że więcej wart rzetelny i przekonany zwolennik jakiejbądź partyi niż człowiek chodzący luzem z pobudek nieobywatelskich.

Jednakże armia bezpartyjnych nie składa się wyłącznie z żywiołów tego typu, ani też przynależność do takiej lub owakiej partyi nie jest dowodem ducha obywatelskiego i mądrości politycznej osobnika odnośnego. Każdy, kto zajmuje się rzeczami politycznemi, wie, jak olbrzymią rolę w tych sprawach odgrywa „owczy pęd“. On to w niemałej mierze sprzęga ludzi w gromady. Słabi i bezradni w pojedynkę czują się silnymi w zrzeszeniu, rosną oni we własnych oczach i czują się poważnemi kółkami a niekiedy sprężynami w machinie politycznej, podczas gdy w rzeczywistości są tylko marnemi maryonetkami w rękach sprytnych i ambitnych prowodyrów.

Lecz wróćmy do bezpartyjnych.

Sądzić należy, że gdyby możliwem było zbadać wiarę polityczną każdego poszczególnego członka wielkiej rodziny bezpartyjnych, pokazałoby się, że dzielą się oni na dwie główne grupy: na sympatyków istniejących w danym kraju stronnictw, ludzi, którzy dla tego tylko nie przystępują oficyalnie do stronnictw, ponieważ nie mogą zgodzić się bądź to na wszystkie punkta ich programu, bądź na wszystkie metody ich działań, a nie widzą możności przeprowadzić ich reformy w myśl swych postulatów; — i na eklektów politycznych, którzy w jednych sprawach idą z tem, w innych z drugiem stronnictwem nie dla tego — jak twierdzi p. B. — że zmieniają swe poglądy polityczne od przypadku do przypadku, lecz dla tego, ponieważ w jednych sprawach godzą się na stanowisko tej, w innych na stanowisko tamtej partyi, co oczywiście nie wyklucza innej jeszcze możliwości, a mianowicie, że polityka żadnej z istniejących partyj w pewnych przypadkach im nie dogadza, wskutek czego robią propagandę na rzecz specyalnych swych poglądów.

Po za temi grupami istnieje niewątpliwie sporo miału politycznego, który, o ile ujęty w karby partyi rozumnej i uczciwej przydatny stanowiłby budulec, o tyle pozbawiony kierownictwa organizacyi bywa elementem niepewnym i nieobliczalnym, gdyż najrozmaitszym i najróżnorodniejszym wpływom przystępnym i ulegającym.

Okoliczność, że każdy naród, nawet najoświeceńszy i najbardziej politycznie wyrobiony, posiada wspomniany miał polityczny, tłumaczy w znacznej mierze istnienie i zadanie agitatorów partyjnych. Chodzi po prostu o to, aby żywioł ten pociągnąć do organizacyi partyjnej, czyli narzucić mu wolę przy-

wódców partyjnych i ich doktryną polityczną go przepoić.

Boć chyba nikt nie jest tak naiwny, aby miał wierzyć, że polityka danej partyi jest wypadkową zbiorowej roli i zbiorowych poglądów stronników. Robią ją raczej przywódcy obdarzeni zaufaniem swych klientów. I dobrze tak jest, bo inaczej wogóleby do końca nie doszli. Tem wszakże tłumaczy się i ten objaw, że ludzie wykształceni na ogół nie zbyt podatnym są materyałem dla partyi. Wzmożony krytycyzm ich nie tak łatwo podporządkowuje się komendzie partyjnej. Wiadoma np., że w Niemczech ludzie najbardziej wybitni, uczeni, artyści i t. p. żywioły kulturalne w znacznej mierze stronią nie tylko od partyj, lecz wogóle od polityki praktycznej, która coraz bardziej staje się domeną agitatorów i demagogów.

Przykłady niemieckie nie mogą być miarodawcze dla nas, tem mniej przykłady złe, boć absenteizm żywiołów najlepszych i najkulturalniejszych w polityce praktycznej jest klęską dla narodu.

Słusznie tedy gromią patryoci tego rodzaju „bezpartyjność.“ Jest ona wprost zabójcza, jeżeli ogarnie szerokie warstwy wśród narodów wolnych, liczebnie silnych i powołanych do stanowienia o swoich losach. Rozwój polityczny bowiem na partyach się opiera i partyami we wielkiej mierze stoi.

Czyż jednak ma się sprawa tak samo u społeczeństw podbitych, upośledzonych, ujarzmionych?

Spójrzmy na katolików niemieckich. Czyż dzielą się oni na partye i siły na walki partyjne trawią?

Nie. Tworzą oni jedną zwartą i solidarną partyę centrową i to mimo dzielące ich głęboko różnice pod względem politycznych i społecznych zapatrywań, ba, mimo ostre antagonizmy partykularystycznej, szczepowej natury.

Tymczasem rozpadłaby się partya centrowa na kilka stronnictw z chwilą, w którejby przez cud jakiś cała ludność katolicka rzeszy znalazła się na zwartem terytoryum i własne katolickie utworzyła państwo.

W położeniu bez porównania gorszem my Polacy się znajdujemy.

Mimo to dzielimy się na partye i, co gorsza, wyrobiliśmy w sobie ducha partyjności, dziwną nietolerancyę wobec inaczej myślących, ekskluzywność partyjną, która już nawet w stosunki towarzyskie się wżera i czyni je przykremi.

Zaiste trudną do pojęcia jest rzeczą, że społeczeństwo będące stroną wobec przeciwnika zewnętrznego dzieli się na stronnictwa. Strona to całość, stronnictwo częścią tylko. Zbliża ono bezsprzecznie ludzi, lecz również bezsprzecznie rozdziela, a rozdzielając siłę zbiorową osłabia.

W tem poglądzie na sprawę należy upatrywać jedno z najgłówniejszych źródeł bezpartyjności polskiej, która wypisała na swym sztandarze hasła zgody i harmonii na wewnątrz i solidarności absolutnej na zewnątrz społeczeństwa.

Hasła — hasłami, a rzeczywistość — rzeczywistością.

Poucza nas ona, że na drodze negacyi partyj nie zbliżymy się do ideału. Rozwój nasz — jak to dokładnie spostrzegamy — porusza się raczej w kierunku przeciwnym, w kierunku coraz subtelniejszego różniczkowania się prądów politycznych i krystalizowania się stronnictw.

Nadchodzi zdaje się czas, że ci, których ideałem jest jeden solidarny i jednomyślny naród polski, będą musieli do zrealizowania tegoż ideału dążyć drogą organizacyi politycznej, wytwarzając instytucyę, która we wyższej jedności połączy rozliczne dzisiaj i coraz bardziej rozszczepiające się prądy. Tą instytucyą może i powinna się stać Rada Narodowa. I będzie nią pod warunkiem, że tak zakres jej działania jak skład jej odpowiadać będzie istotnym potrzebom społeczeństwa.

Z naszych spraw.

Odezwa.

Czołem! Zarządom dwudziestu Towarzystw Sokolich, należących do naszego Okręgu II. Środkowego przypominamy, iż dzień 22-gi stycznia b. r. jest dniem 50-tej rocznicy wybuchu ostatniego zbrojnego powstania narodu polskiego przeciwko Rosyi. Jakiekolwiek mogą być dziś zapatrywania na ówczesny ruch zbrojny, jakikolwiek w pojęciu jednostek był i jest rezultat dwuletniej nieomal walki orężnej na całym obsarze Królestwa kongresowego, niezbitym pewnikiem jest, iż Rok 63-ci przyczynił się w ostateczności do potężnego rozbudzenia ducha narodowego wszystkich trzech dzielnic porozbiorowych, a nasz zakon sokoli tej strasznej, ale zarazem wzniosłej i wspaniałej epoce zawdzięcza swój początek. Uczestnicy powstania z roku 63-go byli ojcami polskiego Sokolstwa. O tem, — choć dziś tylko duchową bronią walczymy o przyszłość naszego narodu, — zapominać nam nie wolno.

Wzywamy Was zatem, Druhowie, abyście po gniazdach Waszych — bądź to w ramach ściślejszych Towarzystwa Sokoła, bądź to wspólnie z innemi bratniemi organizacyami urządzili stanowczo w bieżącym miesiącu jeszcze obchody uroczystościowe ku wdzięcznej pamięci Poległych, a ku czci żyjących dziś jeszcze uczestników walki ówczesnej. Msze św. żałobne za dusze krwawych ofiar, odczyty, deklamacye, śpiewy i wykłady oraz osobiste uczczenie żyjących Weteranów, winny być objawem skupienia naszego ducha. Przywdziejcie mundury, rozwincie sztandary a pomodliwszy się za Poległych, zgromadźcie wśród Was żywych, by razem z Tymi Weteranami rozpamiętywać minione czasy krwawe, a krzepić narodowego ducha.

Druhowie! Wzywamy Was, abyście natychmiast przystąpili do ułożenia programu uroczystości, dali inicyatywę do łączności z innemi towarzystwami, a wszystko przeprowadzili w ramach ściślejszych, prywatnych, do których dostęp mieć będą jedynie osoby zaproszone. Adresy weteranów całego zaboru posiada d. Stanisław Rzepecki (Poznań, W. Garbary 14) jako sekretarz Komitetu Opieki nad Weteranami. Informacyj wszelkich udzielimy chętnie. A więc Druhowie do dzieła! Czołem!

Wydział Okręgu II. Środkowego. Sokołów polskich w p. n.

Karol Rzepecki, prezes.	Józef Tucholski, wiceprezes.
Wiktor Weselik, sekretarz.	Antoni Wysocki, naczelnik.
Juljan Lange, zast. nacz.	Tadeusz Siewicz, skarbnik.

* * *

Zlot sokoli 1913.

W roku bieżącym odbędzie się w Poznaniu w dniach 15, 16 i 17-ym sierpnia Związkowy Zlot sokoli. Ponieważ to będzie Zlot wszystkich drużyn sokolich z całej Rzeszy niemieckiej, budzi on już dziś znaczne zainteresowanie, tem więcej, że Wydział Związku, Wydziały okręgowe i gniazda poszczególne od dwóch miesięcy krzątają się nad należytem przygotowaniem publicznego popisu swych szeregów.

* * *

Frymarka ziemią.

Nie przebrzmiały jeszcze echa frymarki choryńskiej, a znów nadchodzi wiadomość o nowym tego rodzaju haniebnym czynie. Dnia 28-go z. m. Polak Brumer sprzedał komisyi kolonizacyjnej majątek swój Parchanie, położony w powiecie inowrocławskim, a obejmujący około 1500 morgów Wszelkie starania ze strony polskiej,

aby ocalić piękny ten majątek w tak zagrożonym przez germanizacyę powiecie inowrocławskim, okazały się bezskuteczne. Ohydę tej frymarki powiększa jeszcze fakt, że p. Brumer podobno nie znajdował się w trudnych warunkach finansowych, wypłacono mu bowiem gotówką przeszło 400,000 marek. W sprzedaży pośredniczyli agenci Powidzer i Simon z Poznania.

* * *

Wiece przeciw wywłaszczeniu.

W święto Trzech Króli odbył się w Pradze wiec, na którym omawiano położenie Polaków w Prusach i założono protest przeciwko wywłaszczeniu majątków polskich.

Poseł dr. Kramarz wygłosił dłuższą mowę, w której oświadczył, że Czesi muszą energicznie zaprotestować przeciwko wywłaszczeniu i przemocy, popełnianych na Polakach w państwie niemieckiem. Protest ten nie jest wynikiem nienawiści względem Niemców, lecz wypływa z poczucia sprawiedliwości i ludzkości.

Czesi w ten sam sposób zaprotestowaliby, gdyby czyny takie popełnili nie Niemcy, lecz Słowianie. Walka prowadzona przez poznańskich Polaków z podziwienia godną siłą i odpornością służy interesom całej Słowiańszczyzny, a zatem i przyszłości Rosyi. Dlatego obowiązkiem Rosyi jest popieranie Polaków w tej walce i wyciągnięcie z tego konsekwencyi w stosunku do Polaków, zamieszkałych w Rosyi. Ale Polacy muszą zrozumieć, że wskutek wojny bałkańskiej napór niemczyzny na południowy wschód został powstrzymany, że przez to zwrócić się musi na najbliższy wschód. Dr. Kramarz zaapelował do Polaków, aby ze względu właśnie na to zrozumieli doniosłość idei solidarności słowiańskiej i oparli się na swoich braciach słowiańskich nawet wówczas, gdyby ze strony Rosyi nie doznali sprawiedliwości.

Następnie poseł do wiedeńskiego parlamentu Tetmajer wyraził wdzięczność narodu polskiego dla Czechów i zapewnił, że poznańscy Polacy wytrwają w walce, pewni są bowiem zwycięstwa.

W końcu uchwalono rezolucyę, wyrażającą energiczny protest przeciwko zastosowaniu wywłaszczenia na Polakach.

* * *

Wiece na prowincyi przeciw wywłaszczeniu

odbyły się w dalszym ciągu w ubiegłą niedzielę i poniedziałek (w święto Trzech Króli). I tak odbyły się między innemi wiece **w Borku, Mogilnie, Janówcu i wiec kobiet w Kórniku**, który odbył się równocześnie w dwóch salach. Na sali Domu Przemysłowego zagaiła wiec p. Drowa Tłokowa, na sali hotelu Wiktorya pani Stefania Broeckerowa z Runowa. Mówczynie przemawiały kolejno w obu salach. Pani Marya Ruczyńska z Dziećmierowa mówiła o położeniu naszem, pani Drowa Stasińska z Poznania przemawiała na temat wychowania narodowego. O oświacie wśród włościan mówiła p. Pelecowa, włościanka z Dziećmierowa. P. Malinowska z Kórnika przemawiała o zachowaniu ideałów narodowych. P. Urbankówna z Poznania o haśle „swój do swego“, a p. Dormanowska ze Skówka o wychowaniu narodowem. Na koniec przyjęto jednogłośnie rezolucye z wieca w Urbanowie. Na cele funduszu narodowego zebrano 140 mk. Wiec, kóry zgromadził około 1000 osób wszystkich stanów, szczególnie inteligencya z miasta i okolicy licznie była reprezentowana, miał przebieg poważny i na długo pozostanie w pamięci uczestników. Zakończono go po trzechgodzinnych obradach pieśnią „Serdeczna Matko“.

* * *

Zjazd delegatów Towarzystw przemysłowych okręgu poznańskiego

odbył się w uroczystość Trzech Króli po południu w Domu Katolickim w Poznaniu.

Obrady zagaił zastępca prezesa okręgowego p. Małecki z Główny, życząc przemysłowi powodzenia w nowym roku.

Przewodnictwo objął za zgodą zebranych p. Andruszewski z Kostrzyna, który powołał do pióra p. Sikorskiego z Kostrzyna.

Na wniosek p. Samolińskiego z Łazarza wzięto najpierw pod obrady punkty 7 i 8-my porządku obrad, zawierające wnioski o obowiązkowe abonowanie „Przemysłowca“ przez wszystkich członków zarządów Towarzystw okręgu i zaniechania zabaw tanecznych.

Po dłuższej dyskusyi wniosek pierwszy przeszedł znaczną większością głosów, podczas gdy wniosek drugi zarząd okręgowy cofnął. Równocześnie uchwalono polecić Towarzystwom okręgowym, by wedle możności zaprowadzały u siebie abonament obowiązkowy dla wszystkich swych członków.

Po odczytaniu protokółu z ostatniego zjazdu okręgowego i wybraniu p. Samolińskiego sekretarzem okręgowym, przystąpiono do wysłuchania odczytu p. red. Kucika na temat: „Towarzystwa przemysłowe a wychowanie młodzieży rzemieślniczej.“ Referent wykazał, że jest obowiązkiem Towarzystw przemysłowych zająć się szczerze i energicznie wychowaniem młodzieży rzemieślniczej tak pod względem umysłowym jak i moralnym i fizycznym.

Odczyt p. Kucika znalazł ogólny poklask. Uchwalono go wydrukować i rozesłać do wszystkich towarzystw związkowych.

Zarazem przyjęto rezolucyę, by dla okręgu poznańskiego utworzyć komisyę z 9 członków, któraby zajęła się zorganizowaniem terminatorów w okręgu. Do komisyi wybrano pp. Krausego, Samolińskiego, Mokarskiego, Michalaka, Porankiewicza, Stolpego i Zawiaka z Poznania oraz p. Małeckiego z Główny i p. Andruszewskiego z Kostrzyna.

Odczyt p. Krausego o małżeńskiem prawie majątkowem dla spóźnionej pory odłożono.

W wolnych głosach poruszano rozmaite sprawy pomniejsze, poczem p. przewodniczący zamknął zebranie hasłem: Cześć przemysłowi!

Pogadanka rolnicza.

Nowy Rok nie przyniósł zmiany powietrza. Ciepłota niebywała trwa z małemi wyjątkami dalej i oczywiście już dawno takiej zimy nie było. W samą wigilię było nawet 12° ciepła, a następnego dnia 11° ciepła.

Podług statystyki było

	24. XII.	25. XII.	26. XII.
w roku 1911	5,0° C.	5,0° C.	3,4° C.
w roku 1910	6,5° C.	4,8° C.	3,4° C.
w roku 1909	7,6° C.	3,0° C.	2,5° C.
w roku 1908	1,3° C.	1,4° C.	4,8° C.
w roku 1907	5,4° C.	0,6° C.	4,7° C.
w roku 1906	7,8° C.	2,8° C.	4,0° C.

Przytem święta Bożego Narodzenia były bezśnieżne tak samo jak w tej zimie. Anormalny stan wcale nie cieszy gospodarza.

W naszym klimacie bowiem winna być zima mroźna i śnieżna.

W ciepłej zimie gniją w znacznej mierze okopowizny, a przecież tego roku ogólne prawie gnicie kartofli przepowiada drogość na wiosnę. Następnie ciepłą zimę przetrzymują z łatwością śpiące owady, szkodniki przeróżne i nasiona chwastów, które na wiosnę budzą się wszystkie do nowego życia, aby jeść razem z gospodarzem z jednej miski.

Wreszcie w ciepłej zimie nie przemarza rola dostatecznie, a przecież tak ważnym czynnikiem w uprawie roli jest nawóz, rozsadzający najmniejszą grudkę ziemi i odkwaszający zakwaszone grunta.

Głównie zmiany klimatyczne sprawiły, że skała skalista tworząca powierzchnią ziemi, skruszała i zamieniła się na miał urodzajny, składający się w głównej mierze ze skruszonego kamienia i z resztek różnych ciał organicznych przeróżnej fauny i flory.

Zatem gleba składa się z minerałów, z roślin i ze zwierząt. Ciekawem pewno będzie dla rolnika dowiedzieć się coś bliższego o tych nieodstępnych towarzyszach swoich, to jest o kamieniach, roślinach i zwierzętach.

Znany przyrodnik Linné ułożył w roku 1735 następne prawo kardynalne: „Kamienie rosną, rośliny rosną i żyją, a zwierzęta rosną, żyją i czują.“ Dzisiaj w to prawo nikt nie uwierzy, uważa natomiast kamienie, rośliny i zwierzęta za jedną wielką rodzinę, nie mającą żadnych granic ani cechów wybitnych, podług których by je śmiało pogatunkować można.

Są zwierzęta gąbkowate, są korale podwodne, tworzące jakoby przejście z świata zwierzęcego do roślinnego, są rośliny posiadające wszelkie cechy zwierzęce.

Znamy ślimaki przykute do jednego miejsca i żyjące tylko z tego, co się do ich mieszkania zbliży, znamy wędrujące fiołki, zmieniające za pomocą korzeni i rhizomów miejsce pobytu według potrzeby i dla wyżywienia się.

W krajach tropikalnych pną się orchidee po olbrzymich drzewach tak wysoko i szybko, że zdawałoby się, że roślinami ich nazwać nie można. Żarłoczne drozery afrykańskie i rosiczniki wegetujące w naszym kraju obejmują uściskiem niebaczną muchę. Wypiwszy z niej krew wszelką i strawiwszy ciało za pomocą soków pepsynowych, wyrzucają szkielet suchy, czekając na nową ofiarę.

Trudno przyznać drozerom i rosicznikom jakikolwiek intellekt, natomiast czucia pewnego im odmówić nie można i wielu botaników przyznaje roślinom tym czucie, buduje na nim dalsze wnioski, odchodząc coraz więcej od teoryi refleksów. (Refleksy to odruchy bezświadome, spowodowane wpływami mechanicznemi jak naprzykład u roślin muśnięciem skrzydła jakiegokolwiek owadu).

Znaną jest wszystkim budowa tasiemca i jego wegetacya, przypominająca tak żywo życie roślinne.

Z przodu tasiemiec przyrasta, z tyłu obumiera podobnie jak większa część drzew, usychających w pniu, a porastających zielenią w gałęziach.

Wreszcie oddychanie wielu roślin jest podobne oddychaniu zwierząt. Tak jak granice roślin i zwierząt są zatarte i przejścia nie mają, tak też przejścia z świata kamiennego do roślinnego niema.

Kamienie rosną; sól wrzucona do wody przesyconej solą wzrasta i krystalizuje się w coraz większe tetragonalne (kwadratowe) piramidy. To samo odnosi się do innych minerałów, któremi chemik operuje.

Wogóle chemik uważa, że mieszanki w retortach nietylko rosną, lecz żyją także; różne elementy czują sympatyę do drugich i to większą lub mniejszą. Z jednemi łączą się wśród syku i wrzenia, z drugiemi łączą się tylko leniwie i rozgrzane, lub w obecności innych elementów, a z trzeciemi nie łączą się wcale. Wiadomą jest rzeczą naprzykład, że ze złotem łączy się bardzo uciążliwe tlen. Rdza dlatego na złocie tak łatwo nie powstanie, tymczasem rdza na żelazie powsaje w bardzo krótkim czasie. Zatem i światu mineralnemu trzeba bądź co bądź przyznać życie, gdyż łatwo dostrzedz można objawy życia w całym świecie nieorganicznym.

Ponieważ przyroda nie ma granic i nie pozwala na systematyczne bezwzględne i bezwyjątkowe gatunkowanie, dlatego przyrodnicy nie szukają dzisiaj granic między temi na pozór zupełnie odmiennemi trzema światami, natomiast szukają łączników i dalibóg, że na tej drodze zbliżają się w coraz szybszem tempie do celu, to jest do — nagiej prawdy.

Rolnicy mają wprawdzie codziennie do czynienia z przyrodą, lecz nie mają czasu do prac naukowych. Życzyć jednak należy rolnikom, aby wszelkie siły tajnej przyrody złączyły się razem i dały jak najobfitsze żniwo.

Tadeusz Sobeski.

Na widowni.

Groźne chmury, które od czasu wybuchu wojny bałkańskiej zasłaniały widnokręg polityczny Europy, coraz więcej i jawniej zacieśniają swoje kształty i rysy. Co nam przyniosą? Czy wyłoni się z nich groźne widmo wojny europejskiej, czy też będą błogimi zwiastunami pożądanego pokoju? Na pytanie to nie jesteśmy zdolni odpowiedzieć, trudno bowiem wniknąć w tajniki wielkiej dyplomacyi. To jedno tylko możemy powiedzieć, że po zawieszeniu rokowań pokojowych w Londynie, stoimy wobec nieprzewidzianych faktów.

W Niemczech, w dziedzinie polityki tak zewnętrznej jak i wewnętrznej nie zaszły zbyt znaczne zmiany, żeby można szerokie o nich rozprawy pisać. Po nagłej śmierci wytrawnego dyplomaty, ministra spraw zagranicznych, Kiderlen-Wächtera, objął spuściznę po nim młody i niedoświadczony jeszcze Jagow, dotychczasowy ambasador przy Kwirynale. Zrobił on bardzo szybką karyerę dyplomatyczną, bo ze stanowiska posła małego księstewka luksemburskiego dostał się naraz na wielki urząd ambasadora włoskiego. Karyerę swą i to szybkie wypłynięcie na szerszą widownią zawdzięcza nowy sekretarz stanu spraw zagranicznych przedewszystkiem księciu Bülowowi, przebywającemu, jak wiadomo, stale w Rzymie. Pan Jagow był zwolennikiem porozumienia angielsko-niemieckiego. Co do jego zapatrywań na politykę trójprzymierza, prasa rzymska, jak „Tribuna“, „Giornale d'Italia“ i „Corriere della Sera“ zaznacza, że starał się zawsze podtrzymywać dobre stosunki Niemiec. Również prasa niemiecka pokłada w nim wielkie nadzieje na przyszłość. Nowy sekretarz spraw zewnętrznych przybywa 8 b. m. do Berlina, ażeby objąć urząd po zmarłym Kiderlen-Wächterze.

W Berlinie obraduje od poniedziałku kongres socyalistycznej partyj niemieckiej na Prusy. Na kongres ten zjechało się 289 delegatów i 32 posłów. Z ramienia angielskiej socyalnej demokracyi wydelegowany został znany socyalista William Sanders. Najważniejszy punkt obrad stanowi kwestya: „jakie stanowisko i jakiej taktyki użyć powinno stronnictwo socyalistyczne wobec zbliżających się wyborów do sejmu pruskiego“. Zaznaczyć jeszcze należy, że wsunięcie „kwestyi polskiej“ na porządek dzienny obrad odrzucono.

W dziedzinie polityki socyalnej Niemiec, wywołują ciągłe ruchawki zarobkowe i bezrobocia robotników zaniepokojenia hamujące w wielkiej mierze zdrowy rozwój polityki socyalnej.

Na zachodzie Niemiec w fiskalnych kopalniach zagłębia górniczego nad rzeką Saarą wybuchło z dniem 2 stycznia bezrobocie górników — wbrew uchwale chrześcijańskiego Gewerkvereinu, który po porozumieniu się z pracodawcami odradzał od masowego złożenia pracy, zalecając dla osiągnięcia postulatów drogę zobopólnego porozumienia się pracodawców z przedstawicielami górników. Nie wiadomo, co wpłynęło ostatecznie na uchwałę związku chrześcijańskiego, który przecież po bezskutecznej konferencyi przedstawicieli robotników z zarządami kopalń i ministrem handlu, Sydowem, opowiedział się za strejkiem. Jaki ta sprawa dla Gewerkvereinu weźmie obrót, należy odczekać. To jest pewnem, że z górników nikt nie wychodził dobrze na łasce rządu i pracodawców. Jedyna polska organizacya robot-

nicza, Zjednoczenie Zawodowe Polskie, w strejku tym nie bierze udziału, ponieważ w stronach tych robotnicy polscy nie pracują. Natomiast donoszą nam z kół robotniczych Górnego Śląska, że bezrobocie w kopalniach górnośląskich z nadchodzącą wiosną jest niemal że nieuniknione. Jedyna możliwość, zdolna wstrzymać wybuch bezrobocia górników na Górnym Śląsku, jest odpowiedź, jaką dadzą przedstawiciele rządu na petycye wysłane przez centralny Zarząd Zjednoczenia Zawodowego Polskiego do parlamentu i sejmu.

Stan niepewności i oczekiwania w Austro-Węgrzech trwa nadal. Pojawiającym się razporaz pogłoskom o odwołaniu rezerwistów i częściowej demobilizacyi wojska, nie można dać wiary. Ostatnio odbyła się w Wiedniu długa narada wspólnych ministrów Austryi i Węgier, na której nowy minister wojny Krobatin przedłożył zestawienie wydatków, jakie pociągnęła za sobą mobilizacya armii austryackiej. Zestawienie to dotyczy okresu czasu do 31 grudnia; do tego to czasu rząd austro-węgierski wydał na mobilizacyę wojska około 200 milionów koron.

Na tem nie koniec. Moloch wojny domaga się ofiar coraz większych. Minister zażądał uchwalenia dalszych kredytów, z czego wynika, że Austro-Węgry, wbrew uspokajającym pogłoskom wcale nie zamierzają przedsiębrać demobilizacyi.

To zwlekanie rządu austro-węgierskiego z odwołaniem wojskowem jest wodą na młyn dla Rosyi, która wbrew oficyalnym zaprzeczeniom ciągle się zbroi i mobilizuje. Najświeższe telegramy donoszą, że Rosya obecnie przystępuje do mobilizacyi wojska w Besarabii. Do miast Kiszyniewa, Benderu i Terespola pościągano wojsko, kóre ma strzedz matuszkę Rosyę od granicy rumuńskiej.

Celem gnębienia i upośledzenia Polaków rząd rosyjski wymyśla coraz to nowsze ustawy wyjątkowe. Przed kilku dniami minister spraw zagranicznych wniósł do dumy projekt ustawy tyczącej się ubezpieczenia posiadłości rolnej. Ustawa ta ma zabronić Polakom oraz innym „inorodcom“, jako też ich męskim potomkom, o ile nie uzyskali do roku 1880 poddaństwa rosyjskiego, prawa nabywania i posiadania, oraz użytkowania z mocy kontraktów dzierżawnych nieruchomości poza obrębem miast w guberniach wschodnio-południowyh i Besarabii.

W gabinecie petersburskim zanosi się na pewne zmiany. Od kilku dni krąży uporczywie pogłoska o dymisyi ministra wojny Suchomlimowa, oraz odwołaniu ze stanowiska ambasadora londyńskiego barona Benckendorfa. Pierwszy, jak wiadomo, jest zwolennikiem pokoju, drugi, zanadto objawiał w polityce swej skłonności austro-filskie. Jedno i drugie oznaczałoby w danym wypadku zwycięstwo partyi wojennej w Petersburgu.

W młodej rzeczypospolitej chińskiej stosunki nie mogą się jakoś ułożyć. Najwięcej kłopotu sprawia rządowi chińskiemu Mongolia, która domaga się zupełnej samodzielności, w czem popiera ją rząd rosyjski. Rząd chiński zgodziłby się ostatecznie na autonomiczną Mongolię, ale nigdy nie zgodzi się na prerogatywę Rosyi co do wysyłki wojsk do Mongolii. Rosya bowiem żąda bezwarunkowo tego przywileju, który rzekomo nie zastrzeżony w traktacie z Mongolią. Nie ulega wątpliwości, że Rosya swoje plany zaborcze co do Mongolii przeprowadzi, chociażby nawet kosztem wojny.

Umysły wszystkich zwrócone są obecnie na Londyn. Tam nad Tamizą w najbliższych dniach rozegra się część dramatu bałkańskiego. Po odrzuceniu przez Turcyę ultimatum delegatów koalicyi bałkańskiej prace konferencyjne zostały przerwane. W kołach londyńskich politycznych sądzą jednakowoż, że do podjęcia kroków wojennych nie przyjdzie, tembardziej, że lada chwila oczekiwana jest kapitulacya Adryanopola. Z kapitulacyą twierdzy adryanopolskiej Turcya zmuszoną będzie przyjąć także warunki delegatów bułgarskich.

W ostatniej chwili, gdy kończymy niniejszy artykuł, otrzymujemy telefoniczną wiadomość, że wspólny krok wielkich mocarstw w kwestyi bałkańskiej nastąpi w najbliższych dniach. Ażeby uniknąć dalszego rozlewu krwi dyplomacya wielkich mocarstw chce decydująco wpłynąć na Turcyę w kierunku ustępstw dla koalicyi bałkańskiej.

Mimo że pomiędzy ambasadorami trójporozumienia i trójprzymierza, konferującymi nad kwestyami spornemi Turcyi i reszty państw bałkańskich wyłoniły się różnice zapatrywań w kwestyi archipelagu egejskiego, to istnieje nadzieja porozumienia i zawarcia pokoju.

Europa spocznie po wielkich wrażeniach.



Władysław Mickiewicz, syn wieszcza Adama, w otoczeniu kolonii polskiej w Fryburgu badeńskim.

Władysław Mickiewicz.

Donosiliśmy już o tem, że pod koniec roku zeszłego bawił przez czas niejaki w Galicyi Władysław Mickiewicz, syn największego naszego poety polskiego, mieszkający na stałe w Paryżu. Wracając do Paryża, zatrzymał się w Fryburgu badeńskim, by odwiedzić znajomych i grób kuzyna swego Jana Malewskiego. Tenże był synem filarety Franciszka Malewskiego, rektora uniwersytetu wileńskiego, a matka jego pochodziła z Szymanowskich i była siostrą żony Adama Mickiewicza. Syn Adama zaś Władysław pojął znowu za żonę córkę Malewskiego, kuzynkę swoją. Brat zaś tejże, wyżej wspomniany ś. p. Jan Malewski, spedził w Fryburgu bad. ostatni dziesiątek lat życia, żyjąc w przyjaźni z rodziną p. Fernanda Bieszka, Kaszuby-emigranta, i kolonią polską, składającą się przeważnie z akademików. W marcu r. 1911 zmarł Jan Malewski i pochowany został na cmentarzu, na którym spoczywa już inny wielki Polak: filozof Trętowski. — Władysław Mickiewicz, dochowując wiernej pamięci zmarłemu, odwiedził 12 grudnia r. z. grób jego, podejmowany z serdeczną gościnnością

przez Polonię fryburską aż do odjazdu w późnej nocy. Na starym cmentarzu fryburskim odfotografował p. Bydałek z Poznania, słuchacz medycyny, sędziwego gościa w otoczeniu rodziny p. Bieszka i kilku akademików. Zdjęcie to oddaje obrazek nasz, przesłany nam z kół życzliwych czytelników.

Polacy w Brazylii.

Liczne są kolonie polskie w Ameryce nie tylko w północnej Stanach Zjednoczonych, lecz także w południowej w Brazylii, dokąd w ciągu lat ostatnich mieliśmy z Królestwa Polskiego i Galicyi formalną gorączkę emigracyjną. Zwabieni nadzieją wielkich zarobków na plantacyach brazylijskich kawy, doznali nasi emigranci zawodu i dziś prawie wszyscy opuścili te plantacye, ściągając się do Stanu Parana, gdzie osiedli na gruntach rządowych, oddanych im na spłatę kilkuletnią. Liczba Polaków w Brazylii wynosi obecnie około 100000 rozrzuconych na olbrzymiej, mało zaludnionej przestrzeni, w Stanach: Parana, Santa Catharina i Rio Grande de Sul. Klimat tych okolic łagodny i zdrowy, oraz żyzna a tania jeszcze ziemia, dozwalają kolonistom naszym uprawiać rośliny europejskie: żyto, pszenicę, kartofle i kukurudzę. Poza tem trudnią się nasi rodacy w Brazylii polowaniem. Stolicą kolonij polskich jest miasto Curityba (Kurytyba).

Pan Józef Angulski, gorliwy czytelnik „Pracy“ z Tubarao, przysłał nam cztery fotografie, obrazujące sceny z życia rodaków naszych w Brazylii, które zamieszczamy, dziękując serdecznie Szanownemu Rodakowi za łaskawą pamięć.

Brazylia jest kraj tak wielki jak cała Europa. Stolica Rio de Janejro jest ślicznem miastem portowem. Co do produkcyi kawy jest Brazylia pierwszym krajem świata; kawę wywozi się z portu w Santos. Brazylia jest od r. 1889 po obaleniu cesarstwa Rzeczypospolitą. Ziemię tę odkrył w r. 1500 Portugalczyk Cabral, dlatego należała długo do królów portugalskich. Przy końcu XVII wieku znaleziono w Brazylii złoto, a później dyamenty, wskutek czego popłynęło do niej wielu awanturników.



Powrót Polaków w Brazylii z kąpieli wózkiem po kolejnej drodze do Tubaroo.



Towarzystwo Polaków w Brazylii przy obiedzie po kąpieli u cieplych wód w lesie dziewiczym na Guarda-Municipio de Tubarao.
Po lewej stronie stoi p. Dr. M. Trąmpczyński z Poznańskiego, obok jego żona, po prawej pan Antulski, czytelnik „Pracy.“

Alojzy Jan Gawrych.

Wrażenia z podróży po Serbii.

(Dokończenie.)

Bawiąc już od kilku dni w Białogrodzie, dowiaduję się pewnego dnia, że wieczorem o godz. 5-tej przybędzie pociąg z rannymi. Aby się nie spóźnić, wyszedłem trochę prędzej z domu i dotarłszy do dworca, gdzie już niezliczone tłumy stały, przepycham się przez tłum i dostaję się w bramę, u której wnijścia stało dwóch starych wojaków, po wiejsku ubranych i tylko długie karabiny z bagnetami, przypomniały, że to żołnierze. Proszę jednego, aby mnie wpuścił na peron, lecz nie chciał tego uczynić, objaśniam go, iż jestem „polske noviny“ (polskiej gazety) lecz i to nie pomaga, dopiero gdy się z nim umawiam, zjawia się podoficer i melduje mnie dyrektorowi kokolei. Z biciem serca oczekuję rezultatu pod drzwiami, które się otwierają i dyrektor z uprzejmą miną odzywa się: „Molim gospodine“ (Proszę pana). Po krótkiej rozmowie pozwolił mi zostać na peronie, wtem też pociąg powoli nadchodził. Długi to był pociąg, który przywiózł coś około 500 rannych. Z okrzykami „Živio Serbia“ witano rannych, których po kolei zaczęto wynosić. Ach, co to za widok, gdy się patrzy na te blade twarze, na te wycieńczone, obdarte ciała, w których już prawie życia nie było, a jednak tu i owdzie spostrzedz można uśmiech i pewne zadowolenie.

Niejednemu z nich było przeznaczone dziś lub jutro rozstać się z tym światem!

Na drugi dzień widziałem pięć wozów naładowanych próżnemi trumnami, ciągniętych przez woły, które po mału długą ulicą, ku lazaretowi popędzano. Przed lazaretem i wogóle przed

gmachami publicznemi, gdzie dla braku miejsca większa liczba rannych się znajdowała, wisiały tablice z nazwiskami rannych, oblegane przez tłumy. Statystyki poległych i zmarłych wskutek ran rząd nie wydał, aby nie osłabić zapału.

Jak patryotyczne są serbskie kobiety, o tem świadczy następujący fakt: Pewnego dnia przywieziono do Białogrodu zwłoki studenta uniwersytetu paryskiego, który był porucznikiem rezerwy, nazwiskiem Popowic. Zginął on w bitwie pod Prepolacem prowadząc oddział ochotników. Gdy duchowieństwo zwłoki te odprowadzało na miejsce wiecznego spoczynku, śpiewając psalmy żałobne, przybliżyła się do kapłanów matka Popowica i prosiła ich, by zaprzestali śpiewać, gdyż bardziej przystoi, by koledzy jego zaśpiewali: „U bój, u bój Srbine“ (Do boju, do boju Serbie). Tak każda matka powinna odprowadzać syna do grobu, który poległ za ojczyznę. Także następujący fakt świadczy wymownie o bohaterstwie żołnierzy serbskich: W bitwie pod Kumanowem zginął między innymi jedyny syn byłego ministra i członka Akademii serbskiej Lubomira Kovacovica, piastujący do wojny stanowisko sekretarza w ministerstwie spraw zagranicznych, dowodzący zaś pod Kumanowem oddziałem kartaczownic. Gdy pochowano zwłoki młodzieńca, ojciec jego stanął na grobie syna i w te się odezwał słowa: „Synu mój, odejdź w pokoju! Spełniłeś obowiązek swój względem ojczyzny. Synu mój, ja nie płaczę po tobie, bo byłeś z tymi, którzy przez śmierć bohaterską wyzwolili miliony współbraci z jarzma wiekowego. Idź błogosławiony przed tron Przedwiecznego i powiedz radośnie carowi Duszanowi i Lazarowi, zawiadom wszystkich męczenników, że Kosowo jest wolne!“

Przemówienie to wycisnęło wszystkim słuchaczom łzy z oczu.

Aby wzbudzić w narodzie zapał wojenny, wystawiał teatr białogrodzki tylko sztuki narodowe, osnute na tle walki Serbów z Turkami, jak „Janczar“, „Duszan“ itp. i to za cenę o dwie trzecie zniżoną. W dzień wypowiedzenia wojny przez Czarnogórze, dawano w Białogrodzie dramat, pod tytułem „Bałkańska caryca“, którego autorem jest król czarnogórski Mikołaj I. Dawano sztukę po południu, a tłumy ludzi stały przed kasą. Naraz, tuż przed początkiem przedstawienia, zaczęli uganiać po ulicach roznosiciele gazet ze świeżemi „dodatkami“ mokremi jeszcze, prosto z drukarni. Białogród w jednej chwili oniemiał. Więc Czarnogóra wypowiedziała już wojnę! Berany w rękach powstańców i Czarnogrców! Południowy korpus pod dowództwem generała Wukaticza otoczył oddział turecki. Na lewym brzegu Limu odcięto 18 kompanij Nizamów! Tłumy zachwiały się, wybuchnęły okrzykami, rozprysnęły się w ulicę; w teatrze wśród publiczności zapał. Kurtyna poszła w górę. Gromem zahuczała widownia: „Živeo kralj Nikola! Živeo Crna Gora! Živeo Balkański Savae!“ Zapał publiczności wzrasta z każdym aktem, burzliwe manifestacye nie ustają, a kiedy orkiestra teatralna zagrała narodowy hymn czarnogórski, zapał publiczności doszedł do szczytu. Po skończonem przedstawieniu manifestacye przeniosły się z teatru na ulicę. Tuż obok gmachu teatralnego znajduje się ambasada turecka. Jednakże, mimo że w Skoplji Turcy zdemolowali gmach konsulatu serbskiego, a w Stambule konsulaty grecki i bułgarski, ani w Zofii, ani w Białogrodzie nikomu nie przyszło na myśl wylewać złość i gniew na okna i mury poselstwa tureckiego.

— Spotkamy się w Stambule! — wołają tłumy tu i owdzie na widok tureckiego urzędnika ambasady.

Teatr był zawsze przepełniony, lecz przeważnie kobietami i młodzieżą szkół wyższych. Starsi mężczyźni bowiem bawili wszyscy na innym teatrze, na teatrze wojny. Brak mężczyzn można było wszędzie zauważyć; robót przy naprawianiu ulic, które wówczas asfaltowano, z powodu braku ludzi dokończyć nie było można; w składach i kantorach też pustki.

Wchodzę do jednego składu kart, niema w nim nikogo prócz 13 letniego chłopaka; pytam go się „Gdzie ojciec?“ „Na wojnie!“ — „A matka?“ „Na mieście!“ Kto prowadzi interes?“ Z dumą odpowiada mi: „Ja!“

Życie w Serbii z powodu wojny bardzo drogie. Filiżanka kawy kosztuje 50 parów. Jedzenie w hotelach wogóle nie było możliwe, za kawałek pieczonego prosiaka, płacić



Młoda anta; przed nią stoją dwaj myśliwi z psami.
(Patrz artykuł p. t. „Z Brazylii.“)



Polowanie na anty (anta ma mięso smaczne, przydatne do jedzenia) w dziewiczych lasach w okolicy Nowo Belum, blizko kolonii polskiej Rio-Cocal, de Commarco de Tubarao.
(Patrz artykuł p. t. „Z Brazylii.“)

trzeba było półtora dinara a było tam zaledwie 50 gramów mięsa. Bardzo ulubionem jedzeniem jest ryż z cukrem, który podają na zimno z rogalkami w t. zw. Zdravniakach (gospodach podobnych do naszych „Wyzwoleń“). Tak samo ulubioną potrawą są pieczone kasztany i korbasy, które na ulicach pieką. Te ostatnie, na ulicach Niszu, sprzedawano odchodzącym do wojska rekrutom, którzy zajadali je z wielkim apetytem. Smacznego!

Białogród posiada dużo pięknych gmachów publicznych, jak dom skupsztyny, kasyno oficerskie, ministerstwo wojny, teatr oraz piękny zamek królewski. Obecnie budują ładny pałac dla następcy tronu Aleksandra. Pięknie położony jest gmach komendantury fortecznej, który widać ze Zemunia, gdyż leży na górze nad Dunajem. Gdy jeszcze Białogród należał do Turcyi, mieszkał tam pełnomocnik sułtański. W obrębie wałów fortecznych stoi ogrodzona wieża, w której podobno spoczywa Kara Mustafa. O ile znałem Serbię z opisów starszych, to przyznać muszę, iż w ostatnich 10-ciu latach Serbia wielki krok naprzód postąpiła. Handel serbski bardzo ładnie się rozwija, spółki rólnicze (zadrugi) także dobrze prosperują, tak że Serbia pomału emancypuje się z pod handlu obcego. Lecz nie tylko na polu ekonomicznem Serbowie postąpili, lecz także i na polu kulturalnem. Pozakładano dużo nowych szkół, kilka progimnazyów, kilka szkół realnych i handlowych, drukarnię narodową itd.

Biblioteka narodowa w Białogrodzie zawiera około 30,000 tomów dzieł w różnych językach. Muzeum narodowe jest bardzo ciekawe ze względu na okazy archeologiczne i numizmatyczne.

Jak widzimy pobratymcy nasi na Bałkanach pragną nie tylko wolności— lecz dążą naprzód, aby nie pozostać kulturalnie poza krajami zachodniej Europy, co im się też udaje i czego im z całego serca życzymy!

Podobizny dworów polskich w W. Księstwie Poznańskiem.

(Ciąg dalszy.)



Fot. L. Durczykiewicz, Czempin. **Niechanowo.**

Niechanowo, powiat witkowski, własność Żółtowskich. Tradycya głosi, że majątek ten w 18. wieku należał do hrabiego Brühla, ministra saskiego. Następnie było Niechanowo w posiadaniu Garczyńskich, później rodziny hrabiów Potulickich. Od roku 1847 jest Niechanowo w posiadaniu Żółtowskich. Z istniejącego w katedrze gnieźnieńskiej pomnika Anny Niechanowskiej, zmarłej w roku 1450, można wnioskować, iż siedziba ta od bardzo dawnych wieków już istnieje. — Pałac wybudowany został w początkach 18. wieku, bliższe szczegóły nie są jednak znane.

Redgoszcz, powiat wągrowiecki, własność Władysława Janta-Połczyńskiego, herbu Bończa, prezesa „Towarzystwa Łowieckiego“ na Wielkie Księstwo Poznańskie. W roku 1858 nabył majątek ten Stanisław Janta-Połczyński, były dziedzic Wielkiej Komory w Prusach zachodnich. Poprzednio była Redgoszcz własnością hrabianki Łąckiej. Pałac, dotąd nie zupełnie wykończony, został zbudowany w roku 1886 przez obecnego właściciela i to w miejscu, w którem dawniej znajdowała się świątynia Radogasta, słowiańskiego bożka gościnności i łowiectwa. Do wielce uroz-



Fot. L. Durczykiewicz, Czempin. **Redgoszcz.**

maiconego parku, który jest dziełem obecnego właściciela, przylega zwierzyniec.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bohaterowie pamiętnego roku wojny.[1])

Skutki wyprawy na Moskwę w 1812 roku oraz koniec pamiętnego roku wojny, roku urodzaju, fatalne były dla Francyi, fatalniejsze dla Polski. Dziwnie też prześladowały losy wszystkich wodzów i generałów, zajmujących w wielkiej armii wybitniejsze stanowiska lub w wojnie tej jakokolwiek odznaczonych.

Tak więc główny jej bohater, wódz niezwyciężony, wielki cesarz Francyi, nieograniczony władzca całej nieomal Europy, pobity i pozbawiony tronu, kończy jako wygnaniec na odludnej wyspie, maltretowany przez zbira mściwej Anglii, nikczemnego Hudson Love.

Nieodstępny towarzysz Bonapartego od czasu wojen włoskich, Aleksander Berthier, książę Neufchatel'u, vice-conetable cesarstwa francuskiego, odznaczył się podczas kampanii rosyjskiej niezmierną pilnością i gorliwością w załatwianiu prac głównej kwatery. To też Napoleon, stawiając go jako wzór marszałkom, powtarzał zwykle: „Je vous désire, messieurs, d'être seulement 24 heures comme lui". Jeszcze przed abdykacyą opuścił Berthier Napoleona. Dowiedziawszy się o wylądowaniu z Elby, chcąc uniknąć niemiłego spotkania z cesarzem, opuścił Francyę i udał się do Bawaryi, do Bambergu. Tu, dowiedziawszy się, o świetnym jego marszu do Paryża, zachorował ze zmartwienia na zapalenie mózgu. Leżąc w łóżku, usłyszał nagle maszerujący pułk rosyjski przy dźwiękach muzyki wojskowej. Wywarło to na nim takie wrażenie, że poskoczył do okna, rzucił się na ulicę i zabił się na miejscu.

Pierwszy namiestnik cesarza, bohaterski Murat, król Neapolu, walczył jako wódz przedniej straży na wszystkich polach bitew z niesłychaną odwagą i właściwą sobie fantazyą. Powróciwszy szczęśliwie z Rosyi, opuścił sprawę Napoleona zaraz po batalii pod Lipskiem w zamiarze zapewnienia sobie wątpliwej korony neapolitańskiej. Po różnych wysiłkach i nieudanych wyprawach zbrojnych, popadł w niewolę Austryaków i skazany wyrokiem sądu wojennego na śmierć, został rozstrzelany w jednej z sal zamku w Pizzo.

Najwaleczniejszy z walecznych, marszałek Ney, duc d'Elchingen, walczył nad Moskwą z taką brawurą, że w nagrodę odznaczony został tytułem „Prince de la Moskova". Podczas nieszczęśliwego odwrotu był on stróżem rozprężonej armii francuskiej. Ileż to razy z bagnetem w ręku zasłaniał własną piersią nieszczęśliwych towarzyszy? Niezrównanej jego energii zawdzięczała garstka niedobitków, że cało wyszła z tego strasznego pogromu. Po abdykacyi Napoleona poddał on się Ludwikowi XVIII. Wysłany przeciw powracającemu z Elby „uzurpatorowi", przeszedł z wojskiem do cesarskich szeregów. Pochwycony po bitwie pod Waterloo przez siepaczy burbońskich, stawiony przed tchórzliwą izbę parów, skazany na śmierć, padł, przeszyty kulami grenadyerów, którym tyle razy na polu chwały przewodził.

Marszałek Morthier, książę Treviso, dowódzca korpusu młodej gwardyi w r. 1812, mianowany został za położone w kampanii zasługi gubernatorem Moskwy. Podczas odwrotu przyczynił się obok Ney'a najwięcej do uratowania szczątków wielkiej armii. Po upadku Napoleona obdarzony przez Ludwika XVIII. godnością para Francyi, był przez niejakiś czas ministrem wojny. Towarzysząc w roku 1835 królowi na przegląd gwardyi narodowej Paryża, został śmiertelnie raniony na jednym z bulwarów przez wybuch machiny piekielnej i w kilka godzin potem wyzionął ducha w pobliskiej kawiarni.

Dzielny i mężny dowódzca jazdy gwardyi w 1812 r. marszałek Bessières, książe Istryi, ulubieniec Napoleona, ginie tragiczną śmiercią w nieznacznej potyczce pod Weissenfels. Dnia 1-go maja 1813 r. spostrzegł nadchodzący z nową armią z Francyi cesarz rozwinięte wojska nieprzyjacielskie. Wysłał więc według zwyczaju marszałka Bessières'a dla rozpoznania pagórka, zajętego przez nieprzyjaciela. Padły tylko 3 wystrzały armatnie z tej pozycyi i jeden z nich ugodził śmiertelnie marszałka, znajdującego się przed frontem eskorty, t. j. szwadronu szwoleżerów Chłapowskiego. Tak więc zginął generał, który w tylu bitwach wśród największego gradu kul nigdy nawet lekkiej nie odniósł rany.

W kilka dni potem padł od zbłąkanej po bitwie pod Reichenbach kuli najszczerszy przyjaciel Napoleona, wierny towarzysz niebezpiecznej podróży z Smorgonii do Paryża, wielki marszałek dworu, szlachetny Duroc, książe Frioulu.

A teraz oficerowie Polacy.

Książe Józef Poniatowski, bayard walk pod Smoleńskiem i Borodinem, stróż wielkiej armii wobec ataków Kutuzowa pod Tarutyną, poniósł bolesną kontuzyę wskutek upadku z koniem pod Małym Jarosławcem. Niezdolny do pełnienia służby, jadąc w lichej powózce za cofającem się wojskiem, cudem uszedł niewoli i cudem przedostał się przez Berezynę. Wypocząwszy nieco w Wilnie, stanął schorzały i osłabiony, w wieczór wigilijny w Warszawie w pałacu pod Blachą. Po zreorganizowaniu armii polskiej w Krakowie pobiegł do Saksonii, łącząc się z Napoleonem, by walczyć za honor Polaków, a oddając go Bogu, zginął w nurtach Elstery. Tak więc rycerz ten, który nieraz dla sportu i zabawy przepływał na koniu Wisłę i Dunaj, tonie w nieznacznej rzecze lipskiej.

Uczony, odważny i przedsiębiorczy generał Michał Sokolnicki, towarzysz Kościuszki pod Maciejowicami i w więzieniach petersburskich, powołanym został w roku 1812 do głównej kwatery Napoleona. Zadaniem jego było dostarczać wiadomości o położeniu, ruchach, sile wszelkich oddziałów armii rosyjskiej i wspólnie z cesarzem pracować nad planami wojny. Wywiązał on się z tego zadania znakomicie. Wysyłany na obserwacyę przebiegu walki, stawał na punkcie najniebezpieczniejszym i wśród gradu kul uważał z najzimniejszą krwią na ruchy walczących wojsk i co chwilę przesyłał Napoleonowi raporta, z których ten dalsze ruchy kombinował. Tem przyczynił się Sokolnicki niemało do zwycięstw pod Smoleńskiem i Borodinem.

Po abdykacyi Napoleona i utworzeniu nowej armii Królestwa kongresowego służył w niej w stopniu generała dywizyi. Podczas parady na Saskim placu w 1816 roku w obecności księcia Konstantego, uderzony przez rozhukanego konia ułana, spadł ze siodła tak nieszczęśliwie, że śmierć poniósł na miejscu.

Bohater wojska polskiego Ignacy Blumer, „najodważniejszy z odważnych," wsławił się w bitwie pod Tarutiną. Otoczony ze wszech stron przez zastępy nieprzyjaciół, nie stracił na chwilę przytomności. Uformowawszy pułk swój w czworoboki, odparł z po-

[1]) Artykuł wyjęty ze zeszytu 1-go r. b. „Przeglądu Wielkopolskiego," znakomicie redagowanego i poczytnego organu Związku Narodowego.

dziwieniem całego wojska kilka ataków i wspaniale je z niebezpieczeństwa wyprowadził, a nawet ocalił wszystkie swe działa. Także nad Berezyną odznaczył się pułk 3-ci piechoty pod wodzą Blumera męstwem i sprawnością. Dzielny ten żołnierz, a według Prądzyńskiego gorący patryota, poniósł najokropniejszą śmierć, bo z ręki rodaków w czasie zamieszek w Warszawie w dniu 29-ym listopada 1830 roku.

Ten sam los spotkał zasłużonego w 1812 roku pułkownika Stanisława Potockiego. On to po ustąpieniu księcia Poniatowskiego oraz generałów Zajączka, Kniaziewicza, Dąbrowskiego i Izydora Krasińskiego dowodził szczątkami wojska polskiego. Dzięki jego wysiłkom i energii udało się przyprowadzić do Warszawy wprawdzie tylko 1200 ludzi pod bronią, ale za nimi wszystkie działa i sztandary.

W nocy listopadowej starał się Staś Potocki nakłonić lud do rozejścia się do domów. W zamieszaniu padło kilka strzałów i generał, kulą ugodzony, śmiertelną poniósł ranę. Tak zginął waleczny wojownik, Polak, gorliwy przyjaciel ludu, człowiek bez żadnej skazy. Kilka godzin namysłu byłyby go skłoniły do złączenia się z powstaniem i narodem.

W tejże nocy zginął z ręki rodaków mężny legionista Maurycy Hauke, zasłużony dzielną obroną Zamościa w 1812 roku. Broniąc wytrwale powierzonej twierdzy, wsławił imię swoje i takie w narodzie zyskał uznanie, że na jego cześć ułożono pieśń, którą zawsze wojsko polskie śpiewało. W braku komunikacyi z krajem bił Hauke w Zamościu monetę srebrną i miedziana, którą dotąd przechowują jako ciekawy zabytek numizmatyczny.

Dla uzupełnienia tego ciekawego obrazu wspomnieć należy Wincentego Krasińskiego i Jana Krukowieckiego. Piewszy dzielny dowódzca sławnego pułku szwoleżerów gwardyi w 1812 roku, spędził wieczór życia, opuszczony i wzgardzony przez naród, jako generał w służbie rosyjskiej.

Drugi odważny żołnierz z pod Smoleńska, zmarł w Warszawie z ciężkiem sumieniem, napiętnowany mianem, chociaż niezasłużenie, „zdrajcy, co sprzedał Warszawę.“

Lucyan Osten.

Ojczysta mowa to jest dźwięk anielski,
To język Boski, język przyjacielski,
Gdy usłyszysz ojców mowę
Stań pokornie, odkryj głowę,
Bo to Boska wieść!

†

Z żałobnej karty.

Ś. p. ks. dziekan Jan Janas

Dnia 23-go z. m. i r. umarł jeden z najsympatyczniejszych i najczcigodniejszych kapłanów w Księstwie, ks. dziekan Janas ze Stawu przeżywszy 72 lata. Zmarły był wzorem księdza-patryoty. W młodości swej brał czynny udział w powstaniu r. 1863, za co go potem więziono. Później jako kapłan należał do wszystkich prawie instytucyj naszych, hojne na nie składając ofiary. Był on zawsze patryota czynu. W różnych instytucyach, mających na celu ratowanie ziemi, miał ks. dziekan Janas po kilka akcyj. Zmarły odznaczał się obok wysokich zalet umysłu i serca jowialnym humorem i ztąd wszędzie miał przyjaciół od kół najniższych do najwyższych. Ś. p. Arcybiskup Stablewski darzył go szczerą przyjaźnią.



Fot. Atelier „Ilona“, Ostrów.
Ś. p. ks. Jan Janas.

Cześć pamięci zacnego kapłana i obywatela!

* * *

Ś. p. Witold hr. Skórzewski.

Donosiliśmy już, że ś. p. hr. Witold Skórzewski z Lubostronia uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, pogrążając w ciężkim smutku małżonkę z Radziwiłłów Maryę hr. Skórzewską i troje dzieci.

Ś. p. Witold hr. Skórzewski cieszył się powszechnym szacunkiem z powodu swej uprzejmości i nieskazitelności charakteru. Umysłu żywego zajmował się pilnie czynieniem ulepszeń w swym majątku, dla podwładnych będąc wyrozumiałym i sprawiedliwym chlebodawcą.

Ś. p. Witold, Stefan, Bolesław hr. Skórzewski, syn ś. p. Zygmunta, Michała Skórzewskiego z linii Radomickiej na Czerniejewie i ś. p. Konstancyi z Lipskich z Rogowa w Kieleckiem, urodził się 26-go grudnia 1864 w Würzburgu. Po ukończeniu szkół i odsłużenia wojskowości w Berlinie, sprawował przez czas pewien urząd attaché przy ambasadzie w Rio de Janeiro. Powróciwszy, zasobny w wrażenia i znajomość obcych krajów i ludzi, do domu, zaślubił Maryę ks. Radziwiłłównę z Towian w Kowieńskiem.

Dziś smutek zawisł nad uroczą lubostrońską siedzibą. Nic nie wróci żonie ukochanego męża, a dzieciom ojca troskliwego. Bóg jeden tylko pocieszyć może rodzinę dotkniętą tem nieprzewidzianem i okropnem nieszczęściem.

Pogrzeb ś. p. Witolda hr. Skórzewskiego odbył się dnia 3-go b. m. w Łabiszynie przy tłumnym udziale ludu okolicznego oraz przyjaciół i krewnych zmarłego. Wzruszającą i podniosłą mowę żałobną wygłosił duszpasterz miejscowy.



Fot. Atelier „Rubens“, Poznań.
Ś. p. Witold hr. Skórzewski.

Cześć Jego pamięci!

Z TEATRU.

Michał Bałucki: Dom otwarty.

Wznowienie starej komedyi Bałuckiego znalazło niepodzielną aprobatę licznie zgromadzonej publiczności. Salwy szczerej wesołości wybuchały co chwila i liczne i obfite brawa świadczyły wymownie, że publiczność tak sztukę jak grę artystów przyjmowała sympatycznie.

Z wykonawców na pierwszy plan wysunęli się p. Czerniak jako Wicherkowski oraz p. Ryll jako Fujarkiewicz. Również p. Górska i p. Szatkowski tworzyli groteskową parę Ciuciumkiewiczów.

Dobrym Fikalskim był p. Kindler, to samo należy powiedzieć o p. Lochmanie w roli wuja. Żelskich grali p. Pieńkowska i p. Kęcki z dużem powodzeniem. Sympatyczną i pełną naturalnego wdzięku Kamilą była p. Janikowska. Partner jej p. Mierzejewski również był na miejscu.

Ładnie wyglądała nieco zbyt obficie gestykulująca Pulcherya p. Czajkowskiej, około której krążył umiejętnie Malinowski pana Boehlkiego. Mniej zadowolił ów drugi za drzwi wyrzucony donżuan, którego nazwiska nie pomnę. Natomiast nieźle prezentowali się niektórzy z galeryi młodzieży, którą strąbił Fikalski na niefortunny balik u Żelskich. Niektórzy co prawda przesadzili tak pod względem karykaturalności charakteryzacyi jak gry, która mocno trąciła szarżą obliczoną na współczucie galeryi. R.

Koleje żelazne w Japonii i Chinach.

Podróżowanie koleją na dalekim Wschodzie Azyi nie jest dziś już wcale niewygodnem i może zadowolić wszelkie wymagania wybrednego turysty. Koleje japońskie jadą szybko i równo, opłata zaś biletów nie jest zbyt wysoką.

Siedzenia w wagonach są poprzeczne, nikt więc nie siedzi plecami do lokomotywy. Jedzenie jest względnie dobre — na przestrzeniach, gdzie w kolejach nie ma wagonu z kuchnią, starają się konduktorzy o gorącą herbatę, na głównych zaś stacyach podawają chłopcy za kilka groszy tak zwane „beutos,“ małe i bardzo apetycznie przygotowane pudełka drewniane, zwykle po dwa razem złączone.

W jednem znajduje się zawsze na pół ugotowany ryż — Japończycy i Chińczycy twierdzą, że ryż nie powinien być nigdy rozgotowany — każde ziarnko trzeba osobno pogryść — wtedy tylko jest dobry. W Holandyi gotują go tak samo.

W drugiem pudełku znajduje się pieczona ryba, trochę słodkiego omleta i gotowane grzyby. Sleepingi czyli wagony sypialne są prawie zupełnie tak niewygodne jak u nas, odznaczają się jednak niezwykłą czystością.

Dla kobiet europejskich jest pobyt w wagonach pierwszej nawet klasy, trochę przykry z powodu gęstego dymu cygar i papierosów. W Japonii ma rząd monopol na tytuń i jest właścicielem wszystkich prawie linij kolejowych, chodzi więc o to, aby palono wszędzie i to jak najwięcej. W Japonii palą wszystkie nieomal kobiety, lecz nie papierosy, tylko małe, cienkie fajeczki o tak maleńkich główkach, że po trzech lub czterech pociągnieniach trzeba je na nowo napełniać.

Japońskie wagony kolejowe są zaopatrzone w piękne, duże okna, przez które podziwiać można cudownie nieraz piękne okolice. Podróżni nie nudzą się tu nigdy, dosyć już bowiem mają rozrywki obserwowaniem współtowarzyszów podróży. Japończycy nie krępują się niczem i postępują tak, jak im się podoba i do czego są przyzwyczajeni. Większa część podróżnych klęczy na ławach i stawia przed sobą drewniane, o bardzo wysokich obcasach trzewiki. Jest to dla Europejczyków widok niezmiernie śmieszny, ale Japończycy nie na to nie zważają.

Zdarza się nawet nieraz, że Japończyk, bez względu na to, że w wagonie jest dużo podróżnych, kładzie się jak długi na ławę, i każe sobie masować nogi lub ramiona. Oficerowie ściągają po prostu buty i siadają, albo raczej klękają wygodnie na ławach. A może niejeden z nich dokazywał cudów waleczności w ostatniej wojnie z Rosyą?

Bardzo zajmującem jest też nieraz podróżowanie koleją w Chinach, mianowicie na przestrzeni pomiędzy Pekinem a Haukau. Kolej ta należała dawniej do Belgijczyków, lecz dumni Chińczycy, którzy pragną dowieść Europejczykom, że techniczne trudności wcale dla nich nie istnieją, przejęli całą tę linię i trzeba przyznać, że wszystko funkcyonuje jak najlepiej. O kufry musi się wprawdzie starać każdy sam, zarząd kolejowy nie bierze żadnej na siebie odpowiedzialności, ale można łatwo wszystkiemu zaradzić — gdyż pojęcie „napiwka“ stało się już międzynarodowem i Chińczycy zrozumieli je bardzo prędko i bardzo gruntownie.

Na kolejach chińskich odgrywają najważniejszą rolę dwie osoby: kupiec i misyonarz. Jeden i drugi ma wszędzie pierwszeństwo.

Najwięcej zajmującą jest podróż z Pekinu do Kalgan — kolej ta zbudowaną została przez chińskiego inżyniera, wykształconego w polytechnice amerykańskiej. Kolej wiedzie przez malowniczy wąwóz Raukau — tuż obok grobli kolejowej ciągnie się prastara droga karawanowa, przecinająca pustynię Gobi — drogą tą wożono herbatę przez Kiachtę i Sybir do Rosyi. Na wyżynach po obydwóch stronach kolei ukazują się, jak twierdze,części sławnego muru chińskiego z czasów Hunnów i nagle, w kierunku północno-wschodnim, widać, nad brzegiem małej rzeczki, ogromny wyłom w murze, przez który kolej przejeżdża: symbol nowoczesnych Chin, zrywających stare zapory w celu wprowadzenia nowego ducha!

Publiczność jeżdżąca na tej linii bardzo jest czasem zajmująca. Widać tam księżniczki mandżurskie, ładne i zgrabne osóbki w najwspanialszych, złotem przetykanych szatach, o bardzo długich paznokciach, zakrytych złotym filigranem i wysoko zaczesanych włosach, skrytych pod ogromnym, haftowanym czepcem, podobnym do stroju głowy wieśniaczek alzackich. Księżniczki te odznaczają się jeszcze dziwnym sposobem malowania twarzy: od oczu aż do brody mają trzy podłużne, na dwa palce szerokie — krwawo czerwone pasy, i to po obydwóch stronach twarzy. Liczny zastęp sług i służebnic towarzyszy takiej księżniczce, kłaniającej się z nieopisanym wdziękiem na wszystkie strony.

Widać tam i dostojników chińskich w żółtych jedwabiach, rozmawiających cicho i mało — widać kobiety o zakrytych twarzach — Anglików, odznaczących się, jak zawsze, sztywnością i żądaniem, aby dla ich przyjemności wszyscy umieli po angielsku — Niemców, którym zawsze mankiety spadają na ręce i którzy wszedzie szukają — piwa. Są tu wszystkie narodowości wszystkich części świata!

To też Europejczyk nigdy się nie nudzi, jadąc koleją w Chinach lub Japonii. Japończycy mianowicie bardzo są przyjemnymi towarzyszami podróży, trochę ciekawi, gadatliwi i uprzejmi, czasem nawet aż zanadto. Każdy podróżny znajduje tu odpowiednie dla siebie towarzystwo — Japończycy

przebywają dużo za granicą, uczą się łatwo obcych języków i cieszą się, gdy mogą z cudzoziemcami w ich rozmawiać języku. Skoro tylko jednak zaczyna kto rozmowę o Japonii i o stosunkach japońskich — wtedy stają się Japończycy od razu milczącymi i niedostępnymi. Celem ich jest: uczyć się od innych, to, co dobre, zastósować do ich kraju, lecz nie pozwolić nikomu, aby zajrzał w ich stosunki i — politykę. **M.**

Losy wynalazców.

Są idee i przekonania, któremi jesteśmy tak na wskroś przejęci, że za nic w świecie nie dalibyśmy ich sobie wyperswadować. Jesteśmy n. p. mocno przekonani, że kto zrobi jaki wynalazek, już miliony ma w kieszeni, i nieco rzeczywiście jest w tem racyi, gdyż zwykle mówi się tylko o *szczęśliwych* wynalazcach. O takich więc, którzy dzięki swoim wynalazkom zyskali ogromny majątek i wielką okryli się sławą.

Sława ich rozbrzmiewa po świecie — ale o znacznie większej ilości *nieszczęśliwych* wynalazców, o wielu takich, którzy życie zakończyli w nędzy i niedostatku, nie słyszy się nic . Umierają zapomniani, nieznani, i przypadkiem tylko czasem zostaje imie ich w pamięci ludzi.

Jeżeli mowa o wynalazcach, to mówi się zwykle o geniuszach, którym szczęście sprzyjało. Mówi się n. p. o Kruppie ,który wynalazł laną stal i który umarł w r. 1826. Tajemnicy swej nie chciał zabierać z sobą do grobu i na łożu śmiertelnem udzielił jej swemu czternastoletniemu synowi Alfredowi. Była to tajemnica niezmiernej doniosłości dla tak młodego chłopca, ale młodziutki Alfred umiał ją pomimo swego wieku, należycie ocenić. Przez dziesięć lat pracował, walcząc z ogromnemi trudnościami, aż w końcu jednak doszedł do celu, a dzięki swej wytrwałości, odwadze i niezłomnej woli osiągnął to, że dziś nie ma drugiej takiej firmy na świecie. Takim był los wynalazcy, któremu szczęście wiernie służyło, i takich jest dużo jeszcze, n. p. Siemens, Mosse, który wynalazł aparat telegraficzny, Marconi, wynalazca telegrafu bez drutu i wiele jeszcze innych.

Ale nie każdy wynalazek jest jakąś potęgą, sprawiającą przewrot w porządku świata, i nie zawsze obdarza wynalazcę takiemi milionami, jakie ma wyżej wymienieni wynalazcy. Czasem i drobnostki przynoszą ogromne zyski. Około r. 1870 gniewał się pewien człowiek o to, że dzieci jego wykrzywiały obcasy przy trzewikach, kazał więc zrobić małe, mosiężne podkówki i przybił je do obcasów. Wynalazek ten mógł zrobić każdy inny — jest to na pozór taką drobnostką, że niejeden nie byłby śmiał ujrzeć w niej jakiś wynalazek i żądać na nią patentu. A przecież drobnostka ta przyniosła szczęśliwemu wynalazcy krocie! Na całym prawie świecie podbijano obcasy podkówkami i fabrykowano ich dziesiątki tysięcy!

Niczego nie gubi się tak łatwo, jak szpilki do włosów — i dawniej, gdy szpilki te były jeszcze gładkie, gubiono ich o wiele więcej, niż dziś. Pewna dama która za wiele szpilek gubiła, zgięła je w środku — mąż jej zauważył to, zażądał patentu i złoto zapełniło ich kieszenie

Butelki trzeba było dawniej korkować — korki wiecznie się albo gdzieś podziewały, albo nigdy nie było do butelek stosownych, jednem słowem — korkowanie butelek było rzeczą bardzo niewygodną. Pewien Amerykanin, nazwiskiem Quillfeldt wynalazł więc butelkę z zamknięciem patentowem, które wszyscy znamy, i w przeciągu kilku lat zarobił na tem 15 milionów marek. Inny Amerykanin, który dodał do tego jeszcze aparaty, zamykające hermetycznie butelki, zarobił także miliony.

Często odgrywa przypadek przy takich małych mianowicie wynalazkach, najważniejszą rolę, ale często też spotyka wynalazcę smutny los ludzi zapoznanych, chociaż wynalazek jego bardzo może być dobry. Dzieje się tak, jak zawsze w życiu — jeden ma szczęście, drugi nie!

W Ameryce n. p. żył prawdziwie genialny wynalazca, Villy Train, który miał to nieszczęście, że wynalazki jego zawsze bogaciły innych. Pewnego dnia, idąc ulicą w Londynie, zauważył, że jakiś człowiek szuka w wszystkich swoich kieszeniach gumy . Drobny ten wypadek naprowadził go na myśl połączenia ołówka z gumą w jedną całość. Przymocował więc z drugiej strony ołówka znaną blaszaną tulejkę i włożył w nią kawałek okrągło wyciętej gumy. Najprostsza w świecie rzecz! Train sem żadnej z tego korzyści nie miał, inny, któremu to pokazał, uzyskał patent i zarobił dużo pieniędzy. Train wynalazł także dziurkowane przedziały pomiędzy markami pocztowemi i plastrem angielskim, oraz mnóstwo innych użytecznych drobnostek, lecz umarł w nędzy i opuszczeniu w lichej chacie w bliskości Nowego Yorku. Aż do śmierci prawie, a umarł, mając lat 69 występował jako boxer, aby zarobić tem na kawałek chleba.

Podobnemi były losy wielu innych wynalazców, a najważniejsze nieraz wynalazki przyniosły swym twórcom tylko kłopot i nieszczęście.

Wynalazcy sztuki drukarskiej Gutenbergowi stawiają dziś pomniki i każde dziecko wie, kto to był. Ale on sam byłby zmarniał; lata całe żył w największym niedostatku — drukarnię musiał dać w zastaw, i dopiero dwa lata przed śmiercią wyznaczył mu książę Adolf Nassawski małą pensyę, jako dowód uznania jego zasług. Genialny ten człowiek żył chociaż jeszcze dwa lata w spokoju, lecz wielu ani tego nawet nie zaznało!

Nie mniej ważnym jak wynalazek sztuki drukarskiej jest wynalazek parowej machiny, przypisują go zaś zwykle Jamesowi Vatt. Świat zna go, bo miał szczęście, ale machiny parowej nigdy nie wynalazł — jedyne, co zrobił, było to, że ją ulepszył. Pierwszym, który ją wynalazł, był fizyk Deius Papin, podług którego nazywają dziś wynalazek inny, bardzo ogólnie używany: „Garnek Papina“ . Garnek ten służy w kuchni do gotowania mięsa na parze. Papin długie pracował lata nad swoją maszyną, on także podał pierwszą myśl budowy parowych okrętów. Pomimo to umarł w Londynie w największej biedzie.

Wynalazek porcelany zawdzięczamy również nieszczęśliwemu człowiekowi, którego los nieustannie prześladował. Na ulicy szpandawskiej w Berlinie znajdowała się około roku 1700 apteka, w której pracował uczeń nazwiskiem Konrad Böttger. Młodzieniec ten pochwalił się raz, że posiada substancyę, za pomocą której może nieszlachetne metale zamienić na złoto. Król Fryderyk I, który, nie mając nigdy za wiele pieniędzy, byłby bardzo takiego czarnoksiężnika potrzebował, zaprosił go do siebie, aby się o umiejętności jego przekonać. Böttger tak się zaproszeniem tem przeraził, że uciekł czemprędzej do Wittenberga, należącego wówczas jeszcze do Saksonii. Ale tu dostał się z deszczu pod rynnę. Zatrzymano go przemocą, że zaś Prusy żądały energicznie wydania go berlińskiej policyi, przeto rozpoczęły się uciążliwe rokowania, które taki nawet groźny przybrały charakter, że wzmocniono nawet wojsko w fortecy. W końcu ugodzono się jednak w ten sposób, że

Böttger pozostał w Saksonii, lecz jako więzień, będący w ciągłem niebezpieczeństwie śmierci. Wolno mu było w więzieniu zajmować się alchemią — po długich więc próbach wynalazł przypadkiem porcelanę, i uzyskał pomoc uczonego Tschimhausa. Mianowano go nawet dyrektorem fabryki porcelany w Miśni, lecz wolności nie odzyskał już nigdy. Böttger umarł w młodym wieku, z nadmiernego picia wódki, do czego się przyzwyczaił ze strachu o swoje życie.

Zanim poznano dzisiejsze telegrafy, używano tak zwanych „wskazówek telegraficznych“, wynalezionych przez Francuza Claude Chappe'a. Pomimo, że zaprowadzono je w całej Francyi i pomimo, że Napoleon niejedno zwycięstwo im zawdzięczał, doznał Chappe od niego właśnie tyle szyderstwa i niechęci ,że w r. 1805 sam sobie odebrał życie.

Nie lepiej działo się wynalazcy telefonu Filipowi Reisowi—gdy zbudował swój aparat i gdy opis jego chciał umieścić w piśmie, wydawanem przez sławnego profesora fizyki Poggendorfa — powiedziano mu, że takich bredni nikt czytać nie może. Zwrócono mu rękopism, ale Reiss potrafił w inny sposób ogłosić swój wynalazek. Nie dożył jednak sławy — przeciwnie nawet — nikt o nim nie wspomina — ogólnem bowiem jest zdanie, że wynalazcą telefonu jest Amerykanin Groham Bell, który w rzeczywistości tylko go znacznie ulepszył i finansowo wyzyskał. Reis, złamany na duszy i ciele, umarł, mając lat 40, na suchoty.

Wynalazca koła, baron Drais nie zaznał również szczęścia. Był on zadowolony, gdy mu mieszkańcy w Karlsruhe kupuili wieczorem kilka szklanek piwa. Za to zjeżdżał na kole z schodów i bawił obywateli podobnemi sztuczkami.

Nie zawsze więc bywa bogactwo i szczęście nagrodą wynalazców. Ale nie ma tego złego, któreby na dobre nie wyszło. Niepowodzenie wynalazcy stało się już nieraz powodem większych i ważniejszych wynalazków, bez których, jak twierdzą ludzie, świat by dziś już istnieć nie mógł.

Otrys.

Nie tenci żeglarz, co płynie po wodzie,
Nie poruszonej nic wiatrem w pogodzie,
Ale kto wały, gdy biją najciężej
Wiosłem zwycięży.

* * *

Kto swej mowy nie szanuje,
Ten sam sobie wróg —
Własną duszą w więzy kuje
Niszczy co dał Bóg.

KRONIKA.

Kupujmy u swego i wyroby swojskie.

— **„Komitet Obchodu Powstania Styczniowego“** dla miasta Poznania, wyłoniony ze sekcyi kulturalnej „Straży“ i komitetu „Opieki nad weteranami 63-go roku“ obradował dnia 20-go z. m. pod przewodnictwem p. Karola Rzepeckiego. Uchwalono na razie szczegóły następujące: 1) mszę św., 2) zbieranie ofiar na „Fundusz Weteranów,“ 3) uroczysty wieczór z prologiem, śpiewem, odczytem i t. d. Niżej podpisany Komitet skomunikuje się z „Komitetem Opieki nad Weteranami“ i poda do wiadomości publicznej dalsze szczegóły. Dziś natomiast prosimy wszystkich weteranów z r. 63-go, którzy mieszkają w Poznaniu i w powiatach okolicznych, aby natychmiast na karcie nadesłali nam swe adresy. Przy tej sposobności wyrażamy przekonanie, iż patryotyczne jednostki większych miast Księstwa urządzą także obchody jubileuszowe i zaproszą na nie „swych“ weteranów okolicznych, których nazwiska i adresy posiada p. Stanisław Rzepecki (Poznań W. Garbary 14) jako sekretarz „Komitetu opieki nad Weteranami.“

Komitet Obchodu Powstania Styczniowego dla miasta Poznania.

Karol Rzepecki, prezes. **Kaź. Otmianowski,** sekretarz.

Rok 1863. Program obchodu.

1. **Chór** (na 2 lub 4 głosy — męskie lub mieszane):
a) Warszawianka.
b) Tysiąc walecznych
c) Z dymem pożarów
d) Boże, coś Polskę
„Harfiarz“ serya I., II. i III. po 4,— (wolno śpiewać tylko w zamkniętych Towarzystwach).

2. **Deklamacya:**
a) Z 1863, wiersz (odbitka „Straży“) —,10
b) Konwój na Sybir (odb. „Straży“) —,10
c) Śmierć Padlewskiego przez Jadwigę Z. S. (odbitka „Straży“) —,10
d) Toast wygnańców, przez Henryka Merzbacha (odbitka „Straży“) —,10
e) Rok 1863, przez Aur. Urbańskiego (w opraw. zbiorze wierszy, str. 109) 4,80
f) Matka Polska, p. Fr. Waligórskiego (tamże str. 215) 4,80
g) Sztandar, przez Winc. Pola (tamże str. 227) 4,80
h) Pogrzeb powstańców, p. T. Konara (tamże str. 237) 4,80
f) Garść ziemi, przez Aleks. Kraushara (Or-Ot, Skarbiec poezyi polskiej, str. 229) 4,50
j) Pogrzeb, przez St. Krętkowskiego (tamże str. 224) 4,50

3. **Obrazy świetlane:**
a) Serya Grottgera m. w. 3,—
b) Serya rok 1863 m. w. 3,—

4. **Wykład:**
a) Jan Żarnowicz (pseudonim), Powstanie styczniowe —,15

5. **Jednoaktówka:**
a) W katordze, przez Edm. Libańskiego —,80
b) Dziesiąty pawilon, przez A. Staszczyka —,80
c) Stary mundur, przez St. Wiśniowskiego —,80
d) Wspomnienie, przez Gryfita —,80

6. **Śpiew solo:**
a) Wojak, słowa Witwickiego, muzyka Chopina —,75
b) Stary kapral, słowa Syrokomli, muz. Moniuszki 1,25
c) Pieśń wojenna, sł. Kościelskiego, muz. Moniuszki —,75

Sekcya kulturalna „Straży“

Powyższy materyał nabyć można w księgarniach lub w biurze „Straży.“
Dr. Fr. Schroeder, ul. Rycerska 12, tel. 6140 konto czekowe w Wrocławiu 6259.

— **Konkurs. Towarzystwo Przyjaciół sztuk pięknych w Poznaniu** rozpisuje konkurs dla artystów polskich na następujących warunkach:

1. Przedmiotem konkursu są:
a) Cztery winiety dla tygodnika religijnego „Przewodnik Katolicki,“ wychodzącego w Poznaniu z dodatkami: „Dom Rodzinny,“ „Opiekun Dziatek“ i „Słowo Boże.“ Motywy winiet powinny odpowiadać zupełnie dotychczasowym. Egzemplarze można nabyć w ekspedycyi „Przewodnika Katolickiego“ w Poznaniu przy ul. św. Marcina 69.
b) Plakat reklamowy dla „Przewodnika Katolickiego.“

2. Nagrody za winiety wynoszą 400 marek, a za plakat 200 marek.

3. Winiety powinny być wykonane piórkiem, plakat zaś w kolorach.

4. Sąd konkursowy zastrzega sobie prawo podzielenia nagród w razie, gdyby przyznanie całej sumy jednemu autorowi okazało się nieodpowiedniem.

5. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 28-go stycznia 1913., dla autorów zamiejscowych 1-go lutego 1913.; do przesyłki należy dołączyć kwit pocztowy jako dowód nadania.

Prace konkursowe należy przesyłać w zapieczętowanem opakowaniu pod adresem Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych w Poznaniu przy ul. Bismarka 8.

Szkice powinny być opatrzone pseudonimem lub godłem autora. To samo godło należy wypisać na dołączonej, zapieczętowanej kopercie, zawierającej nazwisko i dokładny adres autora. Prac podpisanych otwarcie nazwiskiem lub inicyałami autora nie przyjmie się do konkursu.

6. Wynik konkursu ogłosi się około 10-go lutego 1913.

7. Prace nagrodzone są własnością „Przewodnika Katolickiego,“ który tem samem ma prawo publikacyi.

8. Do sądu konkursowego należą pp.: ks. prałat Józef Kłos, redaktor naczelny „Przewodnika Katolickiego,“ adw. dr. Konrad Kolszewski, art.-rzeźbiarz Franciszek hr. Kwilecki z Dobrojewa, ks. prałat Laubitz z Inowrocławia, art.-rzeźbiarz Władysław Marcinkowski, architekt Roger Sławski, architekt Kazimierz Ulatowski, art.-malarz Michał Wywiórski z Berlina.

— **Wrocław.** Staraniem Towarzystwa Polek odbyło się tutaj w dzień Sylwestra przedstawienie „Jasełek.“ Obrano właśnie ten dzień, aby dać polskim rodzinom, jak i młodzieży sposobność zgromadzenia się w jednym lokalu i uniknięcia przez to zgiełku ulicznego. — To też sala restauracyi Casino była publicznością szczelnie zapełniona. Inteligencya stawiła się w komplecie. — Amatorzy wywiązali się ze swego zadania doskonale,a pod koniecc przedstawienia uraczył znany muzyk-artysta p. Potrykowski publiczność Polonezem Chopina. — Potem odbyła się wspólna kolacya przeplatana toastami p. Krupskiego, kuratora Tow. Polek, na cześć gości i p. dr. Kulińskiego, na cześć przewodniczącej p. J. Kamieńskiej.

Na fundusz obrony narodowej zebrano 29 marek, które wysłano do „Dziennika.“

X.

— **Ciąg dalszy podpisów pań z Inowrocławia z „Towarzystwa Samopomocy Naukowej Żeńskiej“ pod odezwę pani A. Karwatowej z Wichulca** „Do autorów, autorek i miłośników sceny“ (patrz nr. 18-ty „Pracy“ z roku zeszłego na stronie 564 i 565): Szadłowska Walerya, Szadłowska Janina, Sępińska Katarzyna, Szczepańska Kazia, Stankowska, Paryzek Józefa, Solińska, Lehman Władysł., Kowalska Michalina, Weiss Helena, Woźniak Ludwika, Ziołkowska Katarzyna, Ziołkowska Rozalia, Szymarek Marya, Zimmer Franciszka, Wołkowska, Rutkowska Józefa, Święcicka Bogusława, Kozłowska Aniela, Skoblewska Joanna, Ziołkowska Stefania, Piekarska Weronika, Modrzejewska Anna, Ludwiczak, Lewandowska Wanda, Bartoszewicz Marya, Kwiatkowska Joanna, Bartoszkiewicz Joanna ,Pytel. Beckerowa Marya, Kirelewska, Surzyńska, Posadza Helena, Wolska Franciszka, Malinowska, Kałuża, Rutkowska Aniela, Kurzawska Zofia, Kurzawska Franciszka.

(Dokończenie nastąpi).

— **Podziękowanie i pokwitowanie.** Za datki pieniężne, nadesłane w dalszym ciągu na odnowienie dolnej kaplicy Pana Jezusa w Poznaniu składa ks. P. Adamek przy ulicy Kramarskiej nr. 2, wszystkim ofiarodawcom serdeczne Bóg zapłać i uprasza gorąco o dalsze datki na ten cel.

— **Polskie Towarzystwo Esperantystów w Poznaniu.** Na ostatniem posiedzeniu postanowiono odbywać odtąd zebranie regularnie w pierwszy piątek po 15-tym każdego miesiąca. Stwierdzono również zadawalający fakt, iż Towarzystwo rozwija się nader pomyślnie — zdołało bowiem przyciągnąć w ciągu swego zaledwie 3 miesięcznego istnienia około 50-ciu członków z różnych sfer społeczeństwa (kilku członków nawet z prowincyi). Wielkie zainteresowanie na grudniowem zebraniu wywołał ksiądz Hoffmann, dzieląc się z zebranymi kilku ciekawymi faktami z swej podróży po Niemczech; gdzie miał sposobność obracania się w kołach esperantystów niemieckich. — Donosimy członkom I-go kursu, iż pierwsze poświąteczna lekcya odbyła się we wtorek 7-go b. m. — II-gi kurs (noworozpoczęty) miał najpierwszą lekcyę już w piątek 3-go b. m. o godz. 9-tej wiecz. Zgłosić się mogą jeszcze nowi członkowie kursu. Bliższych wiadomości co do spraw Towarzystwa i kursów otrzymać można w stałym lokalu Tow. przy ul. św. Marcina 68, (Resursa) od pół do 9-tej wiecz. we wtorki i piątki.

— **Poznań-Wilda.** W niedzielę 29 z. m. i r. odbył się staraniem Tow. Przemysłowców na Wildzie obchód Skargowski na zapełnionej po brzegi członkami, ich rodzinami i gośćmi sali p. Kasprzaka. Na wstępie odśpiewało ruchliwe Tow. Chopin na Wildzie na chór mieszany pieśń „W Bogu nadzieja.“ Gdy przebrzmiały echa pieśni, wstąpił na estradę umajoną w zieleń i gustownie udekorowaną biustem ks. Skargi, prezes Tow. p. Dobrowolski i gorącemi, z serca płynącemi wyrazami, wypowiedział słowa wstępne zastosowane do obchodu, podnosząc zarazem znaczenie ks. Skargi i podobnych obchodów dla naszego społeczeństwa oraz witając w końcu licznie zebranych gości jako też prelegenta czcigodnego ks. Cieszyńskiego.

Poprawnie wypadł śpiew „Modlitwa“ z opery „Flis“ Moniuszki. Kantata na cześć ks. Skargi przez ks. Surzyńskiego wypadła ku zupełnemu zadowoleniu. Nastąpił wykład ks. Cieszyńskiego na temat „Skarga jako bohater narodowy“.

Czcigodny ks. prelegent w wymownych słowach i ze znaną swadą oratorską skreślił żywot ks. Skargi cytując wyjątki z kazań sejmowych a zakończył godzinny swój wykład apelem, by zgoda, spokój i miłość w narodzie naszym zapanowały. Długotrwałe gromkie oklaski były dowodem jak czcigodny ks Prelegent umiał ująć serca słuchaczy. Kilka deklamacyj zastosowanych do obchodu a wygłoszonych przez pp. U. i B. wykonano dobrze. Śpiew chórowy „O cześć ci Skargo“ Kurpińskiego wypadł wspaniale i przyznać tu trzeba, iż Tow. Chopin, a szczególnie dyrygent Tow. druh Barwicki dołożył dużo starania. Apoteoza ks. Skargi na Skałce wypadła dobrze. Pan prezes podziękował w końcu wszystkim gościom za przybycie, a szczególnie ks Cieszyńskiemu oraz Tow. Chopin, druhowi Barwickiemu i p. Parzybokowi za podjęte trudy i starania. Wspólnym śpiewem „Serdeczna Matko“ oraz „Dobranoc“ zakończyła się piękna i wzniosła uroczystość.

Uczestnik.

Śrem. Tutejsze Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“ urządza w niedzielę, dnia 12-go b. m. na sali hotelu Wiktoryi przedstawienie amatorskie. Odegranym będzie obraz dramatyczny p. t. „Ogniem i mieczem“. Początek o godzinie 8 wieczorem.

Nekrologia.

† **Ś. p. Józef z Siecina Krasicki**, b. obywatel ziemski, uczestnik wypadków 1863 r., więzień stanu, ur. w 1863 r. w Malczewie w W. Ks. Poznańskiem, po długich cierpieniach zaopatrzony św. Sakramentami zmarł dnia 2-go b. m. Złożenie zwłok do grobu familijnego w Krakowie odbyło się dnia 5-go b. m. — **Ś. p. Henryk Hedinger**, dnia 4-go b. m. w Poznaniu w 64-tym roku życia. — Nieboszczyk pracował od przeszło lat 40 w Banku Kwilecki, Potocki i Ska, którego dyrektorem był od długiego czasu. — **Ś. p. Jadwiga Wache**, bratanka ś. p. Henryka Hedyngera, dnia 4-go b. m. w Poznaniu w 41-ym roku życia. — **Ś. p. Marya z Adamskich Mendowa**, dnia 3-go b. m. we Wronkach, przeżywszy lat 85. — **Ś. p. Aleksander Dullin**, dnia 2-go b. m. w Poznaniu, w 73-im roku życia. — **Ś. p. Leokadya z Bzdawskich-Jeszkowa**, dnia 1-go b. m .w Starym Sielcu w 48-ym roku życia. — **Ś. p. Marya z Kempfów-Opielińska**, dnia 5-go b. m. w Wrocławiu. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu Fr. Z. w Ł. (Prusy Zachodnie).** — Dziękujemy serdecznie za miłe pozdrowienie i słowa uznania dla „Pracy.“ Również dziękujemy za fotografię i życzymy Szan. Panu z powodu srebrnego Jego zawodowego jubileuszu wszelkiej pomyślności. Fotografię dołączyliśmy do naszego zbioru portretów i rycin.

— **Wielebnemu Ks. L. G. w K. (Prusy Zachodnie).** — 1) Atelier „Rubens,“ plac Wilhelmowski nr. 3. 2) Nowicki i Grynastel, plac Wilhelmowski nr. 2. (oprawa obrazów).

— **N. N. 100.** — 1) O ile nasze informacye sięgają, nie. 2) Poinformuje się Szan. Pani / kalendarza.

— **„Gralowi“ w Londynie.** — Pani Zofia Pace w Londynie 99 Holland Road London W. poinformuje Szan. Pana w wiadomej sprawie.

Nowe książki i treść pism.

— **Księgarnia Stefana Knasta w Inowrocławiu** wydała bardzo pożyteczną, bo pouczającą grę towarzyską dla dzieci i młodzieży pod tyt: **Wędrówka po Polsce.** Specyalnie zwracamy uwagę na grę powyższą i polecamy ją, nadaje się bowiem w pierwszym rzędzie jako podarek dla dzieci wiejskich, które przy grze kraj swój poznać mogą. Cena przystępna bo 30 fen.

Nieznośni palacze.

Palenie papierosów nie jest wprawdzie zdrożnością, atoli częstokroć staje się ono nieznośnem. Człowiek inteligentny i dobrze wychowany nigdy nie powinien do tego stopnia się zapomnieć, iżby w wagonie miał puszczać dym w twarz swych współtowarzyszy podróży. Następnie uchodzi za nieprzyzwoite, skoro kto zapala papierosa, nie uzyskawszy poprzednio zezwolenia, zwłaszcza gdy jeszcze odbywa się biesiada, lub skoro przy stole znajdują się kobiety. Okiem niechętnem spogląda też gospodyni domu, jeśli gościowi, nie zważającemu na popielnicę, spada popiół na śnieżno-biały obrus. Nieraz zdarza się też nierozważnemu smakoszowi papierosów, iż wypala dziurę na leżącej na stole serwecie. Zaiste środek to pewny, by się utrwalić w pamięci pani domu.

Atoli nieznośnym staje się ku swemu nieszczęściu mężczyzna, znajdujący upodobanie w zbyt tanich papierosach. Sprawiają one odrazę każdemu szlachetnemu organowi powonienia. Człowieka, co lekceważy sobie nosy innych, unikają w więcej lub mniej ostentacyjny sposób. Dla nieprzyjemnej woni, jaką z siebie wydziela, poprostu stronią odeń w towarzystwie.

Atoli wzgardzony ten osobnik nie zawsze jest winowajcą tych wołających o pomstę do nieba nałogów plebeuszowskich. Poprostu nabył on z handlu niezbyt wonnych papierosów. Oto cała jego wina.

Istnieją jednakże marki papierosów. wprawdzie trzeba je znać — które acz odznaczają się taniością, wszelako wykwintny posiadają aromat, jak naprzykład znane i nadzwyczaj lubiane „Dubec“ wyrabiane przez fabrykę papierosów „Dubec“ M. Droste w Poznaniu. Tylko najszlachetniejszych tytuni tureckich używają przy wyrobie tych papierosów. Przytem mimo nizkiej ceny przestrzegane są bardzo ściśle przepisy hygieniczne, a ich sumiennym i akuratnym wyrobem zajmują się wyłącznie wytrawni fachowcy.

Lubo wygląd ich bardzo często naśladują, wszelako łatwo ustrzedz się można podrabiań, skoro baczną zwrócimy uwagę na wyżej wspominianą firmę.

W każdym razie palących wonne i prawdziwe papierosy „Dubec“ nikt nie zaliczy do kategoryi „nieznośnych palaczy“.

Nadesłano.

Korzystna egzystencya! Dla ludzi obrotnych i rzutkich a przytem dzielnych fachowców nadarza się nadzwyczaj korzystne pole zarobkowania na większej wsi, o którem donosi nam długoletni czytelnik „Pracy“. Bliższe szczegóły podajemy w dziale ogłoszeń pod nr. **4250**, pod którym przyjmujemy także zgłoszenia reflektantów.



Jan Chełmiński. **Wywiad huzarów.**

Ze wspomnień adjutanta.

Podczas operacyj wojennych w Saksonii roku 1813 dostałem się do sztabu brygady generała Kwaśniewskiego, znakomitego wodza, słynącego atoli z wielkiego uporu i z tylko miernego wykształcenia. Czynność nasza nie była z początku zbyt trudną, ograniczała się bowiem na obserwowaniu Austryaków nad granicą czeską, na przymierze z którymi cesarz widocznie jeszcze wciąż liczył. Tymczasem z formalnem wypowiedzeniem wojny przez Austryę zmieniło się nasze położenie, ustały postoje i wygodne kwatery, a natomiast rozpoczęło się życie koczownicze, częste wywiady i strategiczne rekonesansy, tak iż nieraz dniami całemi nie opuściliśmy siodła. Dotąd pobieraliśmy instrukcye od księcia Józefa, lecz z początkiem sierpnia dostaliśmy się pod bezpośrednie dowództwo sztabu cesarskiego.

Pewnego wieczora, w kilka dni po przejściu naszem pod komendę cesarza, przybywa na spienionym koniu sztafeta głównodowodzącego z depeszą. Generał, który zamierzał właśnie udać się na spoczynek, i który rozbierając się, dyktował nam adjutantom ostatnie instrukcye, rozerwał niebieską kopertę depeszy, na której widniał grubo podkreślony napis „L'ordre!“*) Spojrzeliśmy znacząco na siebie. Depesza musiała zawierać coś ważnego.

Tymczasem, spojrzawszy na nią, zafrasował się generał jawnie, spojrzał kilka razy z ukosa na nas, a potem zwinął papier i schował go w kieszeni munduru.

Zajęty nie mniejszą ciekawością jak obawą i dziwnem jakiemś podejrzeniem spytałem generała dyplomatycznie, czy nadejście nowego rozkazu nie zmieni dotychczasowych dyspozycyj. Kwaśniewski spojrzał na mnie gniewnie.

— Nadejście nowego rozkazu? — huknął groźnie. — Nie wiem nic o żadnym nowym rozkazie. Przysyła mi tu cesarz właśnie... hm... nowy jakiś order. A wam, poruczniku, pilnować lepiej waszych spraw niż troszczyć się o moje!

Poczem skinieniem głowy pożegnał nas, przerywając nasze powinszowania.

* * *

Odpowiedź generała nie zaspokoiła mnie wcale. Pozostawszy sam w przedpokoju począłem mierzyć izbę długiemi krokami. Raz jeszcze przypomniałem sobie wszystkie szczegóły: nagłe przybycie sztafety, kopertę z podkreślonym napisem „L'ordre“, co oczywiście po francusku oznaczało „rozkaz“, a nie jak generał sobie tłomaczył „order“, potem zafrasowanie się szefa, a wreszcie jego niedostateczne wytłomaczenie.

I niepokój mój wzrastał z każdą chwilą.

Wtem skrzypnęły lekko drzwi prowadzące do pokoju generała.

Był to kapral-kamerdyner, który, ułożywszy do snu ekscelencyę, sam szedł na spoczynek. Myśl zbawienna przesunęła mi się przez głowę i zawołałem nań.

— Pan generał śpi już?

*) rozkaz!

— Wedle rozkazu! — huknął.

— Pan generał otrzymał przed chwilą depeszę! Wiesz gdzie się obecnie znajduje? pytałem dalej.

— Wedle rozkazu! W lewej kieszeni litewki.

— Przynieś, lecz nie obudź czasem ekselencyi!

Żołnierz zawahał się. Ściągnąłem zgroźnie brwi.

— Ruszaj! Na moją odpowiedzialność! Rozkazuję!

W kilka chwil potem byłem w posiadaniu cennego manuskryptu. Rozwinąłem papier, spojrzałem, — i zadrżałem. Otóż treść francuskiej depeszy:

Główna kwatera w Zgorzelicach.

Brygada wyruszy natychmiast o dwie mile na południe drogą Zittau—Reichenberg, rozwinie się i stanie na wzgórzach po bokach szosy w pogotowiu do walki infanteryjnej. Spodziewamy się około dziesiątej w nocy ataku Austryaków, których brygada winna wstrzymać do rana, kiedy nadejdą dostateczne posiłki.

Napoleon.

I nagle wyjaśniło mi się wszystko. Wstydząc się przyznać, iż nie rozumie po francusku, naraził generał na gniew cesarza siebie i oficerów i wystawił na szwank bezpieczeństwo armii. Drżącą ręką sięgnąłem po zegarek. Dziewiąta godzina! Nie miałem czasu do stracenia, — lecz cóż czynić? — Zbudzić generała i zawiadomić go o prawdziwym stanie rzeczy? — Myśl tę odrzuciłem natychmiast. Nie uzyskałbym niczego, naraziłbym się przeciwnie na złość generała, który za nic w świecie nie przyznałby podwładnemu w tym wypadku słuszności. — Zwierzyć się kolegom i zażądać ich wsparcia?

I to nie przyniosłoby żadnych korzyści, bo z obawy przed szefem nikt z nich nie ważyłby się na czyn tak samodzielny. — Zaniechać sprawy zupełnie? — Tego zakazywał mi honor wojskowy i sumienie, więc postanowiłem działać na własną odpowiedzialność. Otuliłem się płaszczem, przytwierdziłem szablę i zeszedłem na dół służbowym krokiem. Przybywszy do kwater wojskowych, kazałem zatrąbić na alarm.

— Brygada rusza natychmiast przyspieszonym kłusem w kolumnie plutonowej[2]) drogą na Zittau. Czwarte szwadrony idą w przedniej straży. O dwie mile ztąd zajmie kolumna pozycyę à cheval[3]) szosy Zittau-Reichenberg, sformuje oddział do walki infanteryjnej, cofając konie okulbaczone o sto kroków za linią. Trzecie szwadrony staną po skrzydłach do szarży i ślą gęste patrole naprzód. Wroga odeprzeć za każdą bądź cenę. Generał, obecnie wstrzymany, następuje o ile możności rychło, a zdaje tymczasem komendę najstarszemu pułkownikowi.

Zaraportowałem szefom pułków.

W długiej linii, oświeceni mdławem światłem księżyca, sunęliśmy, niby tajemnicze cienie, poprzez szumiące lasy hen — ku wrogom. Ciągnęliśmy w milczeniu. Drudzy przejęci powagą obecnej chwili, ja przygnębiony ciężarem odpowiedzialności, która spoczęła na mych barkach.

Nocy tej nie zdarzyło się nic ważnego. Zamieniliśmy tylko kilka strzałów z wrogiem, który, widząc nas w obronnej pozycyi, nie ryzykował ataku. Gdy zaświtał poranek, na myśl o którym zimny pot wystąpił mi na skroni, rozległ się tętent konia. Obróciłem się, — dech zamarł mi w piersiach, serce przestało bić — generał!!! Twarz jego skurczona, zdradzała nieprzebłaganą zawziętość, a z wzroku bił tak piorunujący blask, iż nie ważyłem się podnieść oczu. Pocóż opisywać scenę, która nastąpiła teraz i której nie zapomnę nigdy? Zresztą byłem do tego stopnia oszołomiony, iż sam nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Tyle wiem tylko, iż generał w swej nieograniczonej złości kazał mi odebrać szpadę i odstawić mnie na odwach. Później, gdy gniew jego się cośkolwiek ostudził, zawezwał mnie do siebie i wrócił mi napowrót szpadę, temi słowy:

— Dzieciuchowi zachciało się wielkich czynów! Zawsze przecież mówiłem: jaje chce być mądrzejsze od kury. A teraz precz mi z ócz! Marsz napowrót do linii.

A gdy już stałem przy drzwiach, dodał, spoglądając na mnie pół gniewnym, pół badawczym wzrokiem:

— Chyba nie myślisz, mości poruczniku, że nie rozumiem po francusku? Co? — Wyraźnie czytałem coś o orderze, ja generał-major Kwaśniewski i na tem basta!!!

Dnia tego dostałem się napowrót do linii — a konto „grubej niesubordynacyi“.

* * *

Minął sierpień a z nim pamiętna bitwa pod Dreznem. W pierwszych dniach września zapowiedział generał Kwaśniewski większą musztrę brygady. Odbyło się wszystko gładko, czem brygadier[4]) nasz zdawał się być wielce zadowolonym. Przejeżdżając jeszcze raz szeregi, dostrzegł mnie. Krzaczaste jego brwi ściągnęły się zgroźnie:

— Panie poruczniku, proszę na chwilę!

Głos jego drżał złowrogo. Osadziłem przed nim konia.

— Ekscelencya rozkaże!

— Nie, jak mi się pan przypomni, to zdaje mi się, że mnie złość zadławi. Jak żyję, nie zdarzył mi się wypadek podobnej lekkomyślności!... Zresztą chciałem coś powiedzieć... hm tak... Mam tutaj coś dla pana... właściwie... wobec tego, co zaszło.

To mówiąc, wręczył mi jakiś papier.

— Lecz nie myśl pan czasem... że to z powodu... tej sprawy tam... zupełnie według kolei.— I gwałtownie spiąwszy konia, zniknął w tumanie kurzu.

Spojrzałem, — w ręce miałem awans na kapitana.

Mieczysław Rudzki.

[2]) in Zugkolonne! po niemiecku formacya nader dogodna dla szybkich ruchów.

[3]) Prostokątne stanowisko oddziału po obu stronach szosy.

[4]) tyle co dowódzca brygady, w tym wypadku jenerał Kwaśniewski.

Dział kobiecy.

„Mama nie ma czasu!“

Dzieci wnoszą słońce w dom, lecz muszą też oddychać słońcem i swobodą, jeżeli mają wyrosnąć na ludzi chętnych do pracy i zadowolonych z tego, co im los daje. Przedewszystkiem powinny być zawsze otoczone dobroczynną czułością macierzyńską. Dzieci matek wiecznie czemś zajętych są pożałowania godne; ile żalu, ile rozczarowania zawierają słowa: „Mama nie ma czasu!“

Są matki, które rzeczywiście dla dzieci czasu nie mają: są to żony kupców, pracujące razem z mężami, lub kobiety, mające zawód, pochłaniający każdą chwilę ich życia. Matki te odczuwają bardzo dobrze brak czasu dla dzieci i wynagradzają im to jak mogą — albo serdeczną pieszczotą, albo chociaż spojrzeniem, które dziecko rozumie. Oko takiej matki bywa podwójnie bystrem, nie ujdzie baczności jej nic, ani radość, ani smutek dziecka — stara się ona o jak najlepszą dla niego opiekę, chociaż wie, że matki nikt zastąpić nie może.

Innym jest stosunek pomiędzy matką i dzieckiem, jeżeli matka zajętą jest tylko towarzyskiemi obowiązkami i jeżeli jest tego zdania, że płatna osoba



Rzadka sposobność.

najlepiej dziecko wychować potrafi. Tymczasem bony lub panny do dzieci nie zawsze stosownemi są dla dzieci opiekunkami, chociaż dużo jest dziewcząt uczciwych i sumiennych. Mam tu na myśli głównie cudzoziemki. Jeżeli chodzi o bonę Polkę — to każda z matek nie może być dosyć ostrożną w wyborze młodej dziewczyny. Żąda jak najlepszych poleceń — żąda wykształcenia, dobrych manier i wszelkich możliwych cnót i umiejętności — i słusznie, nie można przecież byle komu powierzać dziecka. Ale gdy chodzi o cudzoziemkę — wtedy wymagania o wiele są mniejsze, polecenie biura i jakie takie świadectwa wystarczają zupełnie; pensyę trzeba płacić o wiele wyższą, a są bony cudzoziemki, które niewarte są bonom polskim rozwiązać rzemienia od trzewika, ale są cudzoziemkami, a więc stoją wyżej od naszych.

Gdy dziecko, wychowane przez osoby płatne, podrasta, wtedy widać, że silny węzeł miłości macierzyńskiej rozluźnia się i przyjaźń pomiędzy matką i dzieckiem nie może się utrzymać. I dziecko nie mówi już teraz z żalem. „mama nie ma czasu.“ Może mu właśnie z tem wygodnie, może się cieszy, że matka, która go nie rozumie i zrozumieć nie chce, nie ma czasu. Zajęcie się matki dzieckiem nie w porę, bywa nie raz dla obydwóch stron przykrem, dla dziecka zawsze prawie niepożądanem, a że tak jest, czyja wina?

Niejedna matka staje się własnemu dziecku zupełnie obcą. Często rozpoznaje matka za późno, że nie zna ani charakteru, ani skłonności dziecka, i wtedy żałuje może, „że nigdy nie miała czasu,“ że nie bawiła się z dzieckiem, nie pracowała z niem i wcale się niem nie zajmowała. Ale są matki, które własnej pod tym względem nie uznawają winy, i które dziwią się niezmiernie, że dzieci ich przywięzują się więcej do osób obcych, niż do nich samych. Takie matki nie odzyskują już nigdy serca dzieci, i ostatecznie — lepiej im z tem może, bo i tak „nie miałyby dla nich czasu!“

M. P.

Urodzony pesymista nawet w szczęściu widzi tylko nieszczęście, które minęło się ze swojem przeznaczeniem.

* * *

Kłopot mały dopiero wówczas wydaje się małym, gdy za nim przyjdzie większy.

* * *

Poeta i czarnym atramentem potrafi malować różowe marzenia.

Z dziedziny hygieny.

Pożywienie płynne i picie podczas jedzenia.

Nieraz słyszy się pytanie: czy jest różnica co do skutków dla żołądka pomiędzy napojami jak mleko, sok owocowy, wino niesfermentowane i t. d., a takiemi, jak herbata, kawa, woda zimna lub gorąca, a dalej — jarzynami wodnistemi?

Na pytanie to dr. de Forest odpowiada, że w zasadzie należałoby odpowiedzieć potakująco, gdyż materyały, dostające się bezpośrednio z rośliny do żołądka, najłatwiej ulegają strawieniu i najpożyteczniejsze są dla ustroju. Im więcej się przyrządza i miesza środki spożywcze, tem trudniejsze są do strawienia. Często jednak koniecznem jest, takie środki żywności, które w stanie naturalnym niełatwe są do strawienia, uczynić strawniejszemi zapomocą dłuższego gotowania; w ogólności dzieje się to bez zmiany w stosunku zawartości pierwiastków pożywnych, jakkolwiek częstokroć samo gorąco wywołuje chemiczne przemiany.

W danym nam przez przyrodę pożywieniu płynnem, w mleku i w sokach owocowych, złożone są rozmaite składniki chemiczne w sposób doskonały przez największego mistrza-chemika, tymczasem gdy herbatę, kawę, kakao i czekoladę zestawiają i przyrządzają ludzie, nie umiejący odważyć i odmierzyć dokładnie, czego potrzeba naszemu ustrojowi. Należy przytem zważyć, że cierpki smak naturalny kawy, herbaty i kakao jest nam niemiły, i że przeto cukrzymy te napoje i rozcieńczamy wodą lub mlekiem. A że garbnik herbaty ścina kazeinę (sernik) w mleku, i wogóle cukier z mlekiem, niedobrem już są zestawieniem, przeto napój taki wywołuje wprost zaburzenia w trawieniu. Toż samo rzec można o kawie, a w mniejszym stopniu i o kakao i czekoladzie.

Picie wody podczas jedzenia powstrzymuje trawienie, dopóki żołądek cieczy nie wchłonął lub nie wydalił. Pół szklanki chłodnej wody wedle dra de F. powstrzymuje trawienie o pół godziny. Natomiast pół szklanki czystego soku winogron działa mało co hamująco, gdyż o ile chłód napoju powstrzyma trawienie, to znów właściwość soku podnieca wydzielanie soku żołądka. Ciepły sok owocowy, zapijany z apetytem, podnieca wydzielanie soku żołądkowego, szczególnie używany pod koniec jedzenia.

Soki owocowe zaopatrują ustrój ważnemi szczawkami, kwasami i sokami, jakoteż pewną ilością łatwostrawnego cukru. Zalecić więc można mierne ich używanie jako napojów przy jedzeniu.

* * *

Dziesięć przykazań na zimę

1) Nie opuszczaj domu rano przed spożyciem śniadania.

2) Po spożyciu gorącego napoju, nie przesiaduj na chłodzie.

3) Nie opuszczaj ciepłego mieszkania przed dokładnem zapięciem ubrania tak, ażeby piersi i plecy były dobrze okryte.

4) Nie oddychaj na powietrzu ustami, lecz nosem, ażeby się powietrze chłodne, którem oddychasz, zdążyło ogrzać, zanim przedostanie się do płuc.

5) Bez względu na to, czy ci jest zimno lub ciepło, nie stawaj plecami do ściany lub pieca.

6) Podczas jazdy pociągiem nie wychylaj się przez okno.

7) Nie pozostawaj na chłodzie bez ruchu.

8) Będąc na wolnem powietrzu, mów o tyle, o ile rozmowa jest konieczna.

9) Nie zaniedbuj raz na tydzień udać się do kąpieli, oraz na pół godziny przed ułożeniem się do snu obmyć całe ciało ciepłą wodą, gdyż skóra zanieczyszczona i nieposiadająca świeżości łatwo pod wpływem mrozu zamyka swe pory, wskutek czego organizm staje się skłonnym do chorób.

10) Nie kładź się nigdy do łóżka z wilgotnemi lub zimnemi nogami, jeśli chcesz uniknąć nocy bezsennej.

Armie powietrzne.

Interesujące wywody o użytkowaniu w wojnie samolotów i balonów ze sterem znajdujemy w „Temps.“ Łączą się one z zestawieniem sił powietrznych Francyi i Niemiec, a obecna sytuacya polityczna nadaje im wielką aktualność. Oto ich streszczenie:

Samoloty i balony ze sterem mają w działaniach wojennych dwie zgoła odrębne role. Balony ze sterem odgrywają główną rolę na początku wojny, jeszcze przed starciem pierwszem obu armij nieprzyjacielskich; samoloty zaczynają działać wówczas, gdy wojska nieprzyjacielskie stykają się ze sobą. Jeden i drugi moment może mieć dla bitew znaczenie decydujące pod niejednym względem.

Gdy wybuchnie wojna, balony ze sterem, umieszczone w stacyach pogranicznych, ruszają na zwiady, w kraj nieprzyjacielski. Idzie o zbadanie pochodu wojsk i o telegrafowanie spostrzeżeń jak najszybciej za pomocą telegrafu bez drutu, do sztabu głównego. Ponadto, przy sposobności, balony ze sterem będą pełniły misyę zaczepną. Mają na pokładzie pociski wybuchające, będą niszczyły dworce, mosty, fortyfikacye i t. d. Odlecą ze swych stacyi nocą, tak, aby wczesnym rankiem znaleść się nad krajem nieprzyjacielskim. Przebędą, wraz z drogą powrotną, około tysiąca do tysiąca dwustu kilometrów i przygotowawszy w ten sposób akcyę strategiczną, wrócą do swych stanowisk. Rola ich będzie skończona, lecz mimo krótkiego trwania będzie nader ważna.

Gdy armie ruszą przeciw sobie, będą miały każda eskadrę, lub więcej eskadr samolotów; te nie potrzebują szop specyalnych, są łatwe do kierowania. One to spełniają rolę patrolów rekonesansowych, gdy idzie o szybką służbę wywiadowczą, gdyż mogą ruszyć się z miejsca w każdej chwili, bez względu na stadyum bitwy.

Dwa rodzaje statków powietrznych mają więc przed sobą role odmienne do spełnienia. Samolot nie jest zdolny do pierwszej, gdyż trudno mu lecieć nocą, następnie nie może dźwigać dość materyału wybuchowego, ani przyrządów do telegrafowania bez drutu. Natomiast statki lżejsze od powietrza, znacznie trudniej manewrujące i przedstawiające większy daleko cel dla pocisków nieprzyjacielskich, nie potrafią pełnić szybkich rekonesansów, które są rzeczą samolotu.

Niemcy — konkluduje oficer, autor artykułu w „Temps“ — posiadają balony ze sterem, lecące z szybkością 70 klm. na godzinę, uzbrojone w karabiny maszynowe, które bronią kosza i części górnej balonu; są to narzędzia pierwszej jakości i posłużą nieprzyjacielowi do utrudnienia nam mobilizacyi. Uczynią to oczywiście w nocy, gdyż tak nakazuje taktyka używania balonu ze sterem; już w dzień, podczas mgły, balon taki nie jest prawie widzialny w chmurach. Balon francuski „Adjutant Rédeau“ przeleciał w nocy roku zeszłego nad jedną z fortec francuskich zupełnie niespostrzeżony, mimo, iż było wiadomo, że przeleci.

Państwo niemieckie trzyma się wytrwale systemu Zeppelina. Tyle fatalnych wypadków, jakim ulegały jego balony wojskowe, nie zachwiało przekonania sztabu generalnego berlińskiego, że ten system jest jeszcze pod względem militarnym najlepszy. Obecnie flota balonowa niemiecka jest największa ze wszystkich. Po niej idzie francuska, dalej rosyjska, włoska, której postępy w ostatnim czasie są bardzo znaczne, wreszcie angielska, nakoniec austro-węgierska.

Balony ze sterem byłyby niezwyciężone, nic nie mogłoby powstrzymać ich działania szkodliwego dla wroga, gdyby nie samoloty. Co się stanie z takim pancernikiem powietrznym, gdy rzuci się nań dziesięć samolotów, kierowanych ręką pewną i nieustraszoną? Gdy posypią się strzały i pociski, by wywołać eksplozyę? Tego pytania nie rozstrzygnie się teoretycznie. Odpowiedzi udzieli dopiero najbliższa wojna, w której powietrzny dreadnought zetknie się z powietrznym torpedowcem.

Najstraszliwszą karą za próżnowanie jest nuda.

* * *

Frazes rodzi się wtedy, gdy prawda flirtuje z kłamstwem.

* * *

Złotym wiekiem ludzkości zwano właśnie ten wiek, w którym wcale nie znano złota.



U kabalarki

I wiecznie już...

Czy znasz ten płomień, co skrą przez oczy
W serce się wkrada tak nagle —
Że zanim księżyc koło zatoczy,
Już ognia piętrzą się żagle?...

Już niby burza
Płomieni fala
Zmysły odurza,
Mury obala...

Krew — serce płonie;
Żar lica pali —
Malując skronie
Barwą korali...

A potem — nic...
Złud uschły wonne bzy;
Upojeń zmilkł słowiczy śpiew...
Na zgliszczach tylko jeszcze skra
Jak błędny ognik miga, trwa:
— To niesmak, żal, niekiedy gniew —
Nienawiść — gorycz — łzy —
Ból — bladość lic...
A potem — nic.

. . . .

A znasz ten ogień, co wprost przez duszę
W sercu zarzewie rozpala?...
Co łzy osusza, zwęgla katusze...
Precz pierzcha przed nim trosk fala...

Jak słonko złote
W pierś ciepło leje;
Koi tęsknotę,
Krzepi nadzieję...

Zagrzewa siły
Wśród walk, boleści...
Aż do mogiły
Chroni i pieści...

W nim — wiecznie już
Trwa duchów święty ślub;
Upojeń trwa nadziemski czar...
— Na ustach usta — w dłoni dłoń —
Dwa duchy razem w świetlną toń
Wśród srebrno-mgławych płyną chmur,
Przez wspólny dążąc grób —
Do jasnych zórz...
I wiecznie już...

Marja Remiszewska.

Bal w miasteczku.

Humoreska.

Pan X. był człowiekiem kłótliwym i rubasznym, to też każdy chętnie schodził mu z drogi. Mieszkał z żoną i trzema córkami w samotnej posiadłości oddalonej o pół godziny drogi od wsi N.

Pani X. zwiędła i zestarzała się w pobielanym dworku pod słomianą strzechą, słuchając wiecznego gderania małżonka, a jedynem jej wytchnieniem było kiedy wyjechał czasem choć na krótko.

Gdy córki podrosły nieco, oddano je do poblizkiego klasztoru na pensyę; potem wróciły do domu drżąc razem z matką z obawy przed wspólnym ciemiężycielem.

Lata mijały i trzy dziewczęta zaczęły się przekształcać z powodu samotności i despotyzmu ojca w dziwaczne, stare panny, bo mało kto zaglądał do niegościnnego domu, a młodziez mianowicie uciekała od niego, jak od ognia.

— Jakże gburowaci i niewykształceni są ci wieśniacy, — mawiały panny, ale głównie dlatego, że nikt z młodzieńców nie starał się o ich względy.

— Nigdy nie wyjdą za mąż, nigdy, — wzdychała biedna matka.

— Mniejsza o to, — mruknął małżonek. — Będą miały z czego żyć do końca, bo wszakże na każdą przypadnie dwieście morgów nieodłużonej roli, pocóż więc mają brać sobie na kark jakiego lekkomyślnego utracyusza?



Na urlopie.

Pan X. nie był bynajmniej wzorem męża, jednakże utyskiwał zawsze na złych mężów i niedobrane stadła.

— W miasteczku będzie bal, — ośmieliła się odezwać żona.

— Bal? I cóż z tego?

— Czyżby te biedne dziewczęta nie mogły także pojechać?

Pan X. był tego dnia w niezwykle dobrym humorze, więc huknął: — No do licha, niech jadą!

Trzy starzejące się panny rozpromieniły się na tę nowinę.

— Bal będzie w miasteczku, pojedziemy na bal!

Powyciągano też zaraz z szaf staroświeckie suknie, wstążki, wachlarze i kwiaty; dwie krawczynie i kulawy pocztarek, co niegdyś był krawcem, szyli dnie całe sposobiąc stroje dla panien na bal do miasteczka.

Podczas tych przygotowań trzy córki ożywiły się znacznie i nawet wypiękniały, a gdy ojciec wyszedł w podwórze, odbywały próby tańca w wielkiej sieni starego dworku. Na przemian tańczyły walca, polkę, galopadę i przypominały sobie figury kotyliona. Niegdyś tańczyły go w klasztorze.

Teraz będzie bal w miasteczku.

Nakoniec nadszedł dzień upragniony; trzy stare panny stały się naraz wesołemi dziewczętami. Całą noc nie mogły zasnąć z wielkiej radości i wstały razem ze świtem, aby przymierzać suknie i stroje balowe, bo dzisiaj będzie bal w miasteczku!

Uciecha córek wywarła nawet wrażenie na posępnym zwykle i marudnym ojcu, który ze swej strony robił także przygotowania, aby uświetnić zabawę.

Przedpotopową karetę umieszczono na saniach, wybrano dwie pary najtęższych koni, a powozić miał stary Jan, był wprawdzie głuchy, lecz wzrok miał dobry i rękę pewną.

Wysłano też w przeddzień sztafetę do miasteczka, aby zamówić dla pań wygodny pokój w hotelu.

Dzień był mroźny i pod wieczór powstał zimny wiatr północny, na domiar śnieg zaczął padać, tak że świata widzieć nie było można, lecz nie zważając na to matka i trzy panny, otulone w futra i pledy, stały już czekając na ganku.

Głuchy Jan zajechał w cztery ogniste siwosze; wicher ciskał mu w twarz tumany śniegu i konie rżąc uderzały niecierpliwie kopytami. Panie wyszły przed ganek otoczoną przyglądającą im się z podziwem służbą, sługa otworzył karetę, aby umieścić w niej koce i derki, wtem wiatr trzasnął drzwiczkami, a Jan zadowolony, że nareszcie jechać już mógł, huknął z bicza i konie popędziły szalonym galopem przez podworze na drogę wiodącą do miasteczka.

Bo w miasteczku bal dziś będzie!

Pola, wioski i lasy migały na przemian wśród śnieżycy, aż nareszcie po dwóch godzinach jazdy woźnica ujrzał zdala oświecone okna w domach małego miasta.

Ciężka staroświecka kareta potoczyła się teraz po chropowatym bruku ulic miasteczka, które dziś niezwykle ożywione było, i zatrzymała się w końcu przed bramą domu zajezdnego, gdzie się odbywał bal. Zaraz też gromadka wyfrakowanych tancerzy wysypała się przed ganek i jeden z gospodarzy otworzywszy usłużnie drzwiczki karety zajrzał do wnętrza mówiąc grzecznie: — Panie raczą....

Lecz nikt nie odpowiadał — w karecie grobowa cisza! Zapalono światło... Ogólne zdumienie!... Kareta była pusta, leżały tylko derki i tłomoczki, a pań ani śladu.

— Czy zginęły w drodze?...

Stary Jan spoglądał przez ramię mrugając komicznie oczami i drapiąc się za uchem.

— Tak się zdaje!

Panowie śmiejąc się zamknęli drzwiczki powozu, a Jan trzasnąwszy z bicza odjechał znów z powrotem tak jak był przyjechał.



Chłop chory: Jak umrę, idź za Jana, to dobry gospodarz.
Żona (płacząc): My to rychtyg już ułożyli.

— Zapewne zostawiłem je na ganku, — rozmyślał po drodze.

Matka i córki dawno już zdjęły z płaczem suknie balowe, pan X. obiecywał kości połamać staremu woźnicy, ale na cóż by się to zdało....

Właściwie nie była to jego wina. Gdy wicher trzasnął drzwiczkami, przekonany był święcie, że panie już wsiadły, a łoskot miał znaczyć: jedź! Nic też dziwnego, że przy swej głuchocie nie słyszał rozpaczliwych nawoływań, aby się zatrzymał i wrócił.

Gdy kareta stanęła w domu i konie wprowadzono do stajni, skończył się też już był bal w miasteczku.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 12-go stycznia 1280 śmierć Zawiszy, biskupa krakowskiego. — 1441 hołd księcia oświecimskiego i zatorskiego. — 1815 Anglia przemawia za Polską do dworów północnych. — 1831 Moskale wkraczają w granice Kongresówki.

Dnia 13-go stycznia 1697 konfederacya wojska w bezkrólewiu po Sobieskim. — 1773 manifest dworów zwiastujący rozbiór Polski. — 1793 Prusacy wkraczają do Polski. — 1851 zniesienie granicy między Kongresówką a Litwą i Rusią.

Dnia 14-go stycznia 1329 sejm prawodawczy w Chęcinach. — 1576 sejm w Jędrzejowie po ucieczce Henryka Walezyusza. — 1807 utworzenie rządu tymczasowego w Warszawie.

Dnia 15-go stycznia 1462 zabójcy Tęczyńskiego śmiercią karani. — 1582 pokój z Moskwą na lat 10 w Kiwerowej Horce. — 1619 pokój z Moskwą w Dwilinie. — 1674 sejm konwokacyjny.

Dnia 16-go stycznia 1133 najazd Czechów na Śląsk. — 1649 Jan Kazimierz wjeżdża do Krakowa na koronacyą. — 1698 August I. przybywa do Krakowa. — 1733 August II. ostatni raz wyjeżdża z Drezna do Polski.

Dnia 17-go stycznia 1649 koronacya Jana Kazimierza. — 1664 wojska polskie wracają w granice Moskwy. — 1732 urodzenie Stanisława Poniatowskiego. — 1734 koronacya Augusta III.

Dnia 18-go stycznia 1509 zawarty pokój w Moskwie. — 1576 stronnicy Maksymiliana zapraszają go na tron.

Humor i satyra.

Pieśń o czapce.

Niech tam mówi
Kto chce, jak chce,
W zimie, w lecie,
Chodzę w czapce.

Taka we mnie
Siedzi dusza,
Że nie cierpi
Kapelusza.

W czapce król Jan
Trzeci chodził,
W czapce Wiedeń
Oswobodził.

Czapka siwa,
Baranica,
Zdobi chłopa
I szlachcica.

W czapce bez łeb
Od łobuza
Choćbym dostał,
Nie mam guza.

Niech tam mówi
Kto co, jak chce,
W zimie, w lecie,
Zawszem w czapce!

* * *

Fura żydów za jednego.

Znane są różne anegdotki o księciu polskim Radziwille „Panie Kochanku“, który to magnat wielkim był dziwakiem, humorystą. Oto jedna z setek angdot zapisanych i w podaniu ustnem będących: Jednemu szlachcicowi, sąsiadowi, zabił przez lekkomyślność książę Radziwiłł, panie kochanku, żyda, arendarza. Szlachcic rozgniewał się bardzo na księcia o to, że mu jego poddanego książę wyprawił na tamten świat i robił księciu pogróżki. Gdy się książę o tem dowiedział, kazał ze swoich dóbr pozganiać gromadę żydów, powiązać i naładować pełny wóz drabiniasty i zawieźć ich temu obrażonemu szlachcicowi. Fornal przywiózł przed dworek pełną drabiniastą furę żydów i wysypał ich, wóz przewróciwszy przed gankiem Gdy szlachcic to ujrzał, przybiegł z pokoju na ganek i pyta się fornala, co to jest? Na to pytanie fornal oddał szlachcicowi list od księcia, który, gdy go rozpieczętował, wyczytał w nim następujące słowa: „Posyłam Waćpanowi furę żydów za jednego“.

* * *

Skuteczny środek na myszy.

W okolicy staromiejskiej
Gdzie zgiełk wzrasta już od rana,
Zamieszkuje pani Ględzka,
Ze skrzętności swojej znana.
Bo też u niej tak czyściutko
W pokoiku, oraz niszy,
Że miałaby tam jak w niebie,
Gdyby nie te szkodne myszy.
Tak jej cięły każdej nocy
To kapelusz, to okrycie,
Aż się biednej kobiecinie
Uprzykrzyło prawie życie.
Coby ona za to dała,
By wynaleść na nie sposób!
Kot, pułapki nie pomogły,
Choć radziło wiele osób.
Gdy tak nad swą dolą biada,
Naraz głos z podwórka słyszy,
Że sprzedaje jakiś Węgier
Radykalny tłuszcz na myszy.
Ucieszona tedy wielce,
Każe wołać go czemprędzej,
I na kupno tej trucizny
Nie żałuje już pieniędzy.
Kiedy do rąk tłuszcz dostała,
Odetchnęła aż kobieta;
Lecz nie wiedząc, jak go użyć,
O wskazówkę Węgra pyta.
—„Naprzód potrza bestyę złapacz—
Zdradza Węgier sekret z cicha —
Potem nos jej posmarowacz,
A mysz zaraz sama zdycha!....“
— Taaak?!...—spostrzega się gosposia,
Dłużej się nie dając wabić —



Pani: Kasiu, dałaś rybom świeżej wody?
Kasia: Nie, proszę pani, bo tamtej jeszcze nie wypiły.

Gdy mysz złapię, to ją mogę
Nie smarować, lecz wprost zabić?...
—„Nu!...—powiada Węgier śmiało,
Widząc panią zbyt ostrożną,
Wziąwszy markę do kieszeni —
I tak możno!... — i tak możno!...“

* * *

Wet za wet.

Majstrowa (do ucznia, nie zabierającego się jakoś do jedzenia chudego rosołu): Ty nawet jednem okiem nie spojrzysz na rosół.

Chłopak: Rosół też żadnem okiem na mnie nie patrzy.

* * *

Przed wystawą kapeluszy.

Żona: Patrz mężu! Jakie śliczne kapelusze! Całkiem głowę straciłam...

Mąż: No to szczęście, żeś głowę straciła, bo przynajmniej nie będę już potrzebował kupować ci kapelusza.

* * *

Chwała Bogu.

Matka: No, jakże ten twój pan Emil? Oświadczył się? Jesteście już na „ty“ ze sobą?

Córka: Chwała Bogu! A jakże: od dziś nareszcie jesteśmy na „ty“ Dziś właśnie zapytał mię: „Marciu, powiedz, ile ty będziesz miała posagu?“

* * *

Zupełnie nowe określenie.

— Ach, moja pani droga, co też ja cierpię z moim mężem!... Ten człowiek, to istne Pogotowie!

— Zkąd-że znowu Pogotowie?

— A no, bo po całych dniach i wieczorach nic innego nie robi, tylko trąbi i trąbi!...

* * *

Nasze dzieci.

— Jakże, Tomeczku, sądzisz, czy twoja siostrzyczka sprzyja mi.

— O, tak, proszę pana, kiedy się wczoraj uczyłem lekcyi, to słyszałem, jak papa mówił, że pan wielki osioł, a Julcia ujęła się za panem i powiedziała, że nie można sądzić ludzi z pozorów.

* * *

W teatrzyku prowincyonalnym.

— Dlaczego wciąż grzmi za sceną? Wszak niema ku temu najmniejszego powodu!

— I owszem, robi się to dlatego, aby publiczność nie zasnęła zupełnie!

Dalej do pracy! nie tracić nam czasu,
My robotnicy, wielkiej myśli słudzy!
Choć z nas niejeden padnie wśród zapasu,
Cel nie ominie, osiągną go drudzy.

* * *

Od serca do myśli, od duszy do duszy
Niech płynie myśl zdrowa i słowo uczciwe,
A jeśli i serce i umysł poruszy,
Gdy padną wraz z niemi na rodzinnej niwie
Miłości i wiary rozsiane ziarna —
Zadanie spełnione, a praca nie marna.

Szarada.

Nadesłał czytelnik „Pracy“ p. Fr. Lubecki z Kwilcza.

Dwa zaimki osobiste:
Pierwsza wsteczna i wprost **druga**.
Co do **trzeciej**, ta, — zaiste, —
Jednym krótka, innym długa.

Pierwszy z drugim nie jest stary;
Sąd wydaje **drugie-trzecie**.
Nadziei pełni i wiary
Patrzmy, co nam **wszystko** splecie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 16-go stycznia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej szarady.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie z nr, 51-go:

I. Rebusa:

Mowa to srebro, a milczenie złoto, tak mówią Chinczycy.

II. Zagadki.

A u t o **r**
D a l a **o**
W e z y **r**
E p o k **a**
N o g a **t**
T a t r **y**

Adwent. **Roraty.**

Trafne rozwiązanie nadesłali:

Z POZNANIA: p, Wanda Malinowska.

Z PROWINCYI: pp. Dr. Żmidziński ze Skalmierzyc, Konstancya Kolańczyk z Kowalewa pod Pleszewem, Zofia Weinert z Borku.

Z PRUS ZACHODNICH: p. Wanda Szkudlarek z Grudziądza.

Z GÓRNEGO ŚLĄSKA: pp. Jadwiga Badura z Rożdzienia, Berta Piecha z Burowca, W. Nowak z Pjec pod Czernicami.

Z OBCZYZNY: p. Teofil Goraus z Lyonu.

Nagrodę otrzymali: pp. Dr. Żmidziński ze Skalmierzyc, Zofia Weinert z Borku, W. Nowak z Pjec i Teofil Goraus z Lyonu.

Nasz kącik.

Odpowiedzi i pokwitowania.

Nowy Rok przyniósł mi znowu mnóstwo dowodów pamięci i przywiązania mojej najmilszej gromadki. Niestety, nie mogę tak, jak bym pragnęła, każdemu osobno podziękować. Najprzód więc szczere „Bóg zapłać“ kórnickim dzieciom, w których imieniu p. H. M. tak mi milutko powinszowała i dziękuję Pelasi Zwierzyńskiej, za przysłany mi afisz „Wieczoru wigilijnego,“ bardzo on ładnie malowany i napisany starannie. Dziękuję również za pamięć: Czterolistnej Koniczynce z G., Niezapominajce i Marysiowi Woźnemu z Kostrzyna, Marysi i Czesi Betowskim z Gleśna, Szarotce, Podróżniczkowi i Bławatkowi z M. Helci Cichej z Neukölln, Sokołowi z nad Czarnej wody, Marysiowi i Kaziowi Ochenduszkom z Liska i wielu innym. Wybaczcie dzieci, że zaledwie krótką daję wzmiankę, jeżeli mimo woli wyrządzę wam tem przykrość, wierzcie, iż mnie niemożność odpisania każdemu i poprawienia błędów, jeszcze więcej boli. A błędy są, o i ile jeszcze! Jedna duża panienka, nie, nawet pseudonimu wymienić nie chcę, napisała: Hoinka, zamiast choinka. I znów dwie z później przybyłych czytelniczek piszą stale: Dziękujemi, ucieszyłyśmi, zamiast — dziękujemy, ucieszyłyśmy. A teraz sprawozdanie z przysłanych pieniędzy:

Kazia, Maryś, Czesio i Ignaś Woźni z Kostrzyna nadesłali 8 mrk. 50 fen zebrane przy szopce, z którą chłopczyki kolendując, chodzili do znajomych. Bóg wam zapłać dobre serduszka miłych chłopaczków! Edmundek, Wiktorek i Felcia Tomaszewscy z Pleszewa 1 mk. 50 f. Każde ze swej skarbonki wyjęło złotówkę, „na tabaczkę dla staruszków.“ Bardzo się Edmundku ucieszyłam, że powróciłeś do zdrowia i znów się do mnie odezwałeś, ale trzeba się teraz pilnie uczyć, bo dawniej znacznie już lepiej pisałeś. Twój wujek pewnie się nie cieszy, gdy patrzy z nieba, jak to Edmundek zleniwiał. Staraj się babci i dziadzi wujka zastąpić i być tak, jak on był dobrym Polakiem! — Z Kuśnierza dzieci dworskie i wiejskie nadesłały wspólnie zarobione pieniądze: Marychna, Zosia, Tadzio i Jaś Pętkowscy wraz z swym kolegą Antosiem Rogowskim zebrali odgrywając Jasełka 8 mk. Po przedstawieniu mówili wierszyki: Rózia Kapelska, Janka Stefaniak, Piotruś Wiśniewski, Myśliński, Laskowski, Ludwiś i Władek Woźni, Szczepan Pięta i Książkiewicz. Ci sami chłopcy chodząc ze szopką zebrali 2 mk. Razem od dzieci z Kuśnierza 10 mk. Za tę wspólną pracę i przysłanie zarobionych groszy dla siwych staruszków, nie tylko ja was, dzieci, ze dworu i z chat w mem sercu łączę, ale i czcigodni staruszkowie pewnie błogosławić was będą. — Mysia Skapska, Gasawa. Twój pierwszy liścik sprawił mi wielką przyjemność i podziwiam, że takie małe dzieci, umiały teatrzyk odegrać. Pewnie macie bardzo dobrych, kochanych Rodziców, skoro wam się tak wszystkiem sami zajęli. Za nadesłane 3 mk. 25 f. serdecznie małym amatorkom dziękuję. Maryni Wnuk Bóg zapłać za 3 mrk. i miłe słówka. Dziś umieszczam ostatnią zagadkę historyczną, a więc najdalej w tydzień po jej przeczytaniu nadeślijcie dzieci rozwiązania, to jest wypracowania wszystkich sześciu zagadek. Prawdziwa to dla mnie radość i pociecha, gdy odbieram listy tak przejęte miłością Ojczyzny, zwłaszcza, gdy dzieci piszące je, mieszkają na obczyźnie. Wypracowania Helci Cichej odznaczają się gorącem uczuciem, moja miła, dasz dowód przywiązania dla kraju naszego i mowy, starając się ile możności pozbyć z pisowni niektórych błędów, które liściki twe szpecą. O, gdybym tu miała miejsce na poprawkę! Całuję wszystkie moje najmilsze dzieci, łącząc pozdrowienia od Szarotki z M. Kochająca całem sercem przyjaciółka **P. W.**

* * *

Dobre rozwiązanie logogryfu świątecznego nadesłała tylko Szarotka z M: **Borek, Oko, Żagiel, Egzekwie, Napoleon, Akord, Róża, Ogrodzieniec, Derrajeh, Zero, Eolski, Nankin, Insbruck, Echa.: Boże** Narodzenie — Kolenda — Choinka.

* * *

VI. i ostatnia Zagadka historyczna do nagrody.

W zgnębionym naszym kraju nadziei drży echo:
„Za Wiarę i Ojczyznę!“ — Budzą się pod strzechą
I dążą na to hasło. Hej: „Żywią i bronią!“
Lśni napis na chorągwi — i z wzniesioną skronią
Idą zwarte szeregi, pobrzękując kosą
I swojej matce-ziemi ofiarną krew niosa...
Lśnią się w słońcu jak kwiaty wzorzyste sukmany,
A na czele On idzie, On, wódz ukochany,
On, który poprzysięgał u ołtarza Boga.
Że padnie, lub swym mieczem wygna z kraju wroga.
Poszli i bohaterstwa dokazali cudu,
Ni krwi swej nie skąpili, ni czasu i trudu.
Z bitwy szli w nowa bitwę, niezrażeni niczem,
Jak na żniwo, wesoło, z radosnem obliczem.
Toć ich Wódz ukochany i im nadał prawa:
Każdy z nich równy innym, wolny dzisiaj stawa;
Szliby za nim do wody, w głąb ognia i piekła.
Oj, z rozmachem ich kosa siekła wroga, siekła.
Ale nastała chwila ciężka, straszna, sroga:
W dwakroć prawie silniejsza jest przewaga wroga...
Oj, krwią naszą i wrażą rumienia się błonia
I dwa razy pod wodzem zabito już konia,
Lecz nie tracąc ni chwili trzeciego dosiada,
Choć już ranny. Cios nowy — i wodza twarz blada
Krwią oblana i oczy zamkły się powoli,
Żyje jeszcze, ach, żyje, by jęczyć — w niewoli....
Kto to? Czy wiecie dzieci? Tak, wiecie z pewnością
I biją wasze serca dla niego miłością.
Więc **ostatnią** zagadkę opiszcie mi gładko,
Stając w zwartym szeregu najmilsza gromadko!

P. W.

* * *

Prawdziwy obrazek z przed pół wieku.

(Ciąg dalszy).

Ania przysunęła się bliziutko i śpiewała wraz z chłopcami kolędowe piosenki, wpatrując się w maleńkie figurki mające przedstawiać Najświętszą Rodzinę, pastuszków, złego Heroda, śmierć i djabełka. — Śliczności, śliczności! Ania tuli lalkę, a oczka już się mrużą. Wreszcie wszyscy się rozeszli i w starym dworze ucichło. —

* * *

Minęły święta, Stefcio do szkół wyjechał i Ania znowu została sama. Czasem, gdy Ani smutno i tęskno i już chciałaby uwiesiwszy się u ręki mamy narzekać i pytać: Tak mi się nudzi, co ja mam robić? przypominają jej się słowa starszego braciszka. Dzieci powinny być grzeczne i nie przeszkadzać starszym, gdy mają myśl ważnemi sprawami zajętą. O i Ania pragnie koniecznie robić coś użytecznego, więc gdy uśpi swą Stefcię, biegnie do małego pokoiku, gdzie dawna niania mamy skubie na szarpie kawałki starego płótna. Niestety, nianiusia tak nie słyszy, że Ania chcąc się dowiedzieć celu tej pracy, musi stołeczek przystawić i przez wielką trąbę pytać bardzo głośno. A do czego to, proszę niani? Niania siwą głową poważnie pokiwała. Choć powiem, nie zrozumiesz kochanie; to opatrunek na rany, jak nasi pójdą walczyć. — Rany? Walczyć? O Boże, jak trwożnie zatrzepotało małe serduszko Ani, chciałaby jeszcze pytać, ale z nianią tak trudno się porozumieć, więc tylko zamyślona, drobnemi paluszkami skubie płótno. Wtem, wśród wioskowej ciszy rozległ się dźwięk dzwonków i po chwili sanki przed dwór zajechały. Ania ciekawie ku oknu skoczyła i w jednej chwili jak ptaszek wyfrunęła z pokoju, by w sieni skoczyć wprost w objęcia brata. Stefku, tyś wrócił? Co za szczęście. Ale Stefek ucałowawszy Anię serdecznie, powiedział stanowczo, że przedewszystkiem musi się rozmówić z mamusią. Nadeszła mama, nie mniej od Ani zdziwiona przybyciem Stefanka i długo w zamkniętym pokoju po cichu z nim rozmawiała, a gdy wyszła nareszcie, zdawało się Ani, że miała oczy zapłakane. Na darmo Ania z powrotu brata tak bardzo się ucieszyła, tylko czasami, na chwilę widywać go może. Stefanek nieraz na cały dzień przepada, lub też do niego zjeżdżają się koledzy z sąsiedztwa, Tadeusz i Stach i zamknąwszy się w pokoju, nie ukazują się nikomu, żywa, lecz cicho zajęci rozmową.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dr. Antoni J. Mikulski

Działalność oświatowa Tadeusza Czackiego.

(W setną rocznicę zgonu.)

II)

(Ciąg dalszy.)

Po tej tragicznej chwili nie myślał już Czacki o otwarciu drugiego wyższego zakładu na kresach tj. w Winnicy. To też gimnazyum podolskie w Winnicy otwarte zostało dopiero po śmierci Czackiego w r. 1814. Plan nauk był w niem szczuplejszy niż w gimnazyum wołyńskiem, w każdym jednak razie szerszy niż w szkołach powiatowych.

Zbliżamy się ku końcowi działalności i życia Czackiego. Wojenny rok 1812 nie wpłynął dobrze i na losy gimnazyum krzemienieckiego. Rząd rosyjski, obawiając się z powodu wyprawy Napoleona, powstania w różnych częściach dawnej Polski, miał baczne oko na wszystko. Zwykłe uroczyście obchodzone święto Bożego Ciała, dało (według wersyi pamiętnika Andrzejewskiego)[1]) powód do uwięzienia Czackiego, przewiezienia go do Łucka i stawienie przed głównodowodzącym wojskami ks. Bagrationem, który po zarzutach uczynionych Czackiemu, że młodzież gimnazyum krzemienieckiego stroni od sztandarów cesarskich (co było zresztą prawdą, bo studenci uciekali ze szkoły, ale pod sztandar napoleoński) przedstawił mu w dodatku listę, sporządzoną przez gubernatora wołyńskiego Komburleja, na której było umieszczonych 380 zdolnych do noszenia broni uczniów gimnazyum krzemienieckiego, wśród nich i syn Czackiego, Józef. Na to miał Czacki z energią i powagą oświadczyć, że synów powierzonych mu przez rodziców, rodzicom tylko odda i żadna władza go nie zmusi do innego postąpienia. Bagration zdumiony tem radził przyspieszyć popisy w Krzemieńcu a Czackiemu wyjechać na Podole.

Według innej wersyi, zawartej w pamiętnikach Karola Kaczkowskitgo, Komburlej dążył zbyt widocznie do zamknięcia gimnazyum krzemienieckiego, coby się równało jego zniesieniu, wobec czego Czacki postanowił nauki na czas jakiś zawiesić a dla uzyskania takiego pozwolenia udał się do Łucka do Bagrationa. Bagration wysławszy komisyę do Krzemieńca, która wyegzaminowała kandydatów, mających chęć wstąpić do wojska, zgodził się na czasowe zamknięcie gimnazyum. Przyspieszone popisy odbyły się w połowie czerwca a Czacki wyjechał nad Zbrucz do domu Ksawerostwa Malczewskich.[2])

Po zamknięciu gimnazyum miało nastąpić jego przeniesienie, czemu się jednak Czacki zdołał oprzeć, zasłaniając się niezwalczonemi trudnościami w dokonaniu tego wśród niebezpieczeństw wojennych. Raport w tej sprawie posłano do ministra policyi; Czacki usunął się na wieś, czyniąc tylko pokryjomu wycieczki do Krzemieńca, gdzie go zastępował Filip Plater.

Nowego roku uszkolnego nie otwarto w zwykłym terminie. Tylko szkoła mechaników i geometrów funkcyonowały normalnie, zresztą uczniowie zjeżdżali się powoli i w bardzo małej liczbie. Udzielano im nauk w oznaczonych godzinach, lecz nie otwierano urzędownie gimnazyum i prospektu nauk nie ogłaszano. Gdy po ukończeniu wojny można było otworzyć gimnazyum, było tyko 135 uczniów. Czacki przebywał wtedy ciągle zdala od Krzemieńca, a trzymały go interesa najbliższych, wplątanych w sprawę niedawno zakończonej wojny. Chcąc się widzieć z przybywającym wówczas na Wołyń ks. Czartoryskim pospieszył do Dubna. Tu zapadł na gorączkę nerwową, która wzmagała się wskutek chorób serca i przygnębienia, spowodowanego znacznem nadwerężeniem majątku i po 6 dniach mimo zabiegów lekarzy zmarł w domu fundatora stypendyów w gimnazyum krzemienieckim i przyjaciela dra Jana Lemeta 8 (20) lutego 1813.

Ciało jego pogrzebano z wielką okazałością 19 lutego w Porycku, serce złożono w jednej ze sal gimnazyum krzemienieckiego z trafnym ewangielicznym napisem: „Ubi thesaurus tuus, ibi et cor tuum" (gdzie skarb twój tam i serce twoje) w całym wydziale wileńskim odbywano nabożeństwa i mowy a pod koniec roku szkolnego zainaugurowano w Krzemieńcu obchód ku czci Czackiego i obchód ten aż do zniesienia gimnazyum krzemienieckiego w r. 1833 corocznie powtarzano.[3])

* * *

Wyczerpanie ogólne sił fizycznych, walka z ciągłemi przeciwnościami i pokrywanie ich położyło przedwczesny kres życiu człowieka „bujnego w tworzeniu przedsięwzięć a nagłego i dzielnego w ich dokonaniu" i to właśnie w tym czasie, kiedy stworzone przez niego dzieła wobec zmienionych warunków politycznych potrzebowały jego pomocy, rady i jego dalszego wysiłku w utrwaleniu ich bytu, rozszerzeniu ich i ugruntowaniu. Ośmioletnia działalność Czackiego, przeradzająca się zwłaszcza w stosunku do gimnazyum krzemienieckiego w jakąś szlachetną namiętność, jest trwałym pomnikiem zasług tego wielkiego męża, który do tylu innych zalet dołączył jeszcze jedną, mianowicie patrzenie w dal, działanie dla przyszłości.

Krzywdę wyrządziłoby się Czackiemu, gdyby na cześć jego śpiewano tylko hymny a zapomniano o wadach, jakie w czasie działalności swej pedagogicznej i wizytatorskiej popełnił, o wadach, wypływających tylko z tej szlachetnej namiętności, jaka go ogarnęła na punkcie gimnazyum krzemienieckiego. Ośm lat swej gorączkowej działalności poświęcił w przeważnej części temu zakładowi, poświęcił mu majątek, zdrowie, siły umysłowe, naukę wielką i nadzwyczajną gorliwość. Chciał, by gimnazyum to spełniło podwójne zadanie stawiane przez pedagogikę, chciał, by jego wychowańcy stali się nie tylko światłymi, cnotliwymi i użytecznymi obywatelami, ale i ludźmi towarzyskimi, by w szkole się nie tylko uczyli, ale i bawili, by wynieśli z niej nie tylko pewien zasób wiadomości, ale i przywiązanie do niej jak do domu rodzinnego i do ideałów, jakie wszczepiała, jakiemi żyła i dyszała. — A na czele ich stawiał „cnotę — i służenie ziomkom" (list do syna Józefa z 2 marca 1808)[4]). To też zasługa gimnazyum nie polega na wydaniu uczonych lub poetów, ale na przygotowaniu do zacnego życia obywateli, kochających nauki, starających się o szerzenie światła na rozmaitych stanowiskach, jakie w życiu zająć mieli.

(Dokończenie nastąpi.)

[1]) Ramoty starego Detiuka. II. 256—64.

[2]) *Rolle — Ateny wołyńskie* str. 241.

[3]) Osiński str. 102—104.

[4]) Chmielowski. Tadeusz Czacki str. 118.

Wiktor Gomulicki.

BÓJ OLBRZYMÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

43)

(Ciąg dalszy.)

— Wybicki mówił: „Nadeszła pora upomnienia się o krzywdy, narodowi polskiemu wyrządzone“... Tegoby, kochany hrabio, Francuz nie powiedział, bo on wie tylko o faktach historycznych, o zwycięstwach i porażkach, ale pojęcie krzywdy jest mu obce. Mówił też Wybicki: „Od najdawniejszych czasów byliśmy narodem wolnym i niepodległym“... I o tem Francuz nic nie wie, a z własnych dziejów nauczyć się tego przez porównanie nie mógł. Wreszcie sam, hrabio, osądź: czy którykolwiek z cudzoziemców dobyłby się na taki okrzyk: „Azali Bóg nie jest już syty cierpień naszych i kary, którąśmy na siebie za swe wichrzenia i niezgody ściągnęli?“.

Z drżących rąk hrabiego wypadła tabakierka.

— Tak, tak, panie Macieju... Prawda święta, proszę acana...

Przeszli kilka kroków w milczeniu.

— A cóż, proszę acana, on? Nic mi o nim nie mówisz, panie Macieju?

Tamten wydobył z kieszeni fular; powoli czoło nim obcierał.

— Ano... — nie spiesząc się odrzekł — on nic nie mówił, jeno słuchał, i z nogi na nogę przestępował. Twarz miał nieruchomą, jak z kamienia, drewna lub wosku. Najbardziej, jak z wosku. Raz tylko brwi ściągnął i w oczach coś mu się zapaliło. Było to wówczas, gdy Wybicki, wartkim animuszem uniesiony, wołał: „Rozkaż, najjaśniejszy panie, a szesnaście milionów Polaków broń pochwyci, za tobą pójdzie!“

— Wybicki to powiedział? — Wybicki?... — zapytał podniesionym głosem, krzykiem prawie, hrabia, w miejscu przystając za ramie towarzysza trzęsąc.

— Wybicki powiedział, ale czy Wybicki — napisał? Tu właśnie, kochany hrabio, zachodzi wątpliwość. Ja w tem czuję rękę cudzą, rękę cudzoziemca — wręcz mówiąc: rękę Pradta... Tak żonglować milionami tylko Francuz potrafi. Ale cesarzowi to się podobało. Miał przez chwilę taki wyraz, jakby już widział te szesnaście milionów — od stóp do głowy uzbrojonych...

— Uzbrojonych, panie Macieju? Przez kogo proszę acana, uzbrojonych?...

— Przypuszczam, kochany hrabio, że — za własne pieniądze. Ściślej mówiąc: przez skarb Polski — nieistniejący.

Rzucił się hrabia gniewnie.

— Facecye prawisz, panie Macieju, proszę acana. Lepiej mi mowę cesarza powtórz.

— Krótka była. Pochwalił nas cesarz, że Ojczyznę kochamy. Oświadczył, że będąc na naszem miejscu, również by ją kochał. „Gdybym był przy władzy w czasie rozbioru Polski, wielkąbym armię na pomoc wam posłał“... Ponieważ stać się to nie mogło, „uczyni dla naszego kraju, co tylko od niego będzie zależało“...

— Jakto, proszę acana? Więc wyznał, że nie wszystko od niego zależy?

— W istocie, tak by to można rozumieć.

Hrabia srodze namarszczywszy się, swą grubą trzciną przeciął ze świstem powietrze.

— Wiesz, panie Macieju? — ja na miejscu Napoleona nigdybym tego nie powiedział. Rażące byłyby te słowa w ustach bogów drugiego i trzeciego rzędu — cóż dopiero w ustach Jowisza! Świat wierzyć musi, że od „boga wojny“, tak samo, jak od gromowładnego pana Olimpu, wszystko zupełnie zależy — on zaś sam od nikogo i od niczego zależeć nie może. Na tej wierze i myśmy gmach swych nadziei zbudowali — cóż będzie, proszę acana, gdy zrąb gmachu okaże się niemocnym?

Długo jeszcze, z wyraźną pasyą, sapał i mamrotał, przecinając trzciną powietrze — wreszcie ostro zagadnął:

— Jakaż była, panie Macieju, tej jego mowy kwintesencya?

Wodziński obojętnym głosem sprawozdawcy rzecz ciągnął:

— Powiedział cesarz: „Kocham was, Polacy. Od wielu lat widuję waszych żołnierzy, walczących pod memi sztandarami. Zabiegi wasze pochwalam. Miejcie nadzieję, że zmuszę nieprzyjaciół do uznania praw waszych. Ale i to wiedzcie, żem zapewnił cesarzowi austryackiemu całość i bezpieczeństwo jego posiadłości — niczego z tamtej strony spodziewać się nie możecie. Niech Litwa, Żmudź, ziemia Witebska, Połocka, Mohilewska, a także Wołyń, Podole i Ukraina okażą tegoż samego ducha, który ożywiał Wielkopolskę, a — Opatrzność pomyślnym skutkiem niezawodnie usiłowania wasze uwieńczy.“

Hrabia wyprostowany, w postawie wysłuchującej i wyczekującej, zagadnął ostro:

— To już wszystko, proszę acana?

— Wszystko, kochany hrabio.

Tamten odetchnął głęboko, w milczeniu wskazał towarzyszowi odosobnioną ławkę, na której też zaraz obaj usiedli.

— Napoleon, proszę acana — odezwał się hrabia, wyciągając nogi, umieszczając trzcinę między kolanami, i biorąc z tabakiery niuch tabaki — był dotąd żołnierzem. Nazywano go *heros invicibilis.* Teraz kalkuluje, że został dyplomatą. A wiesz, panie Macieju, jak się wykłada po polsku dyplomata? Wykłada się poprostu: krętacz!

Tamten, wogóle małomówny, nic nie odpowiedział. Zmęczony był podróżą i doznanemi w podróży wrażeniami; przytem, jako członek delegacyi, uważał za obowiązek wstrzymywać się od własnych o jej przebiegu uwag.

Obaj długo milczeli — Wodziński oddany całkowicie miłemu wypoczynkowi, Chodkiewicz pogrążony w myślach, nieruchomy, z trzymaną automatycznie w palcach szczyptą proszku tabakowego.

Milczenie przeciągało się ponad wszelką miarę, i zniecierpliwiło wreszcie nawet małomównego posła.

— O czem tak głęboko rozmyślasz, kochany hrabio? — zagadnął, spoglądając bokiem na towarzysza.

— At!... — mruknął tamten, budząc się z zadumy. — O wielkiem głupstwie rozmyślam: o... frydze.

— O czem?

— O frydze, panie Macieju; lub, jeśli wolisz, o wiertałce, której puszczaniem w ruch dzieci się bawią.

Wodziński ramionami wzruszał, brwi wysoko podnosił.

— Z frygą, proszę acana — ciągnął hrabia — jest rzecz taka: dopóki ma siłę rozpędu, trzyma się prosto; gdy zaś słaniać się pocznie w prawo i w lewo, szukając to tu, to tam punktu oparcia, już to niezawodny znak blizkiego jej upadku.

Podniósł zwolna tabakierkę do nosa, zażył — westchnął.

— *Utinam sim falsus vates.*

I zaraz do towarzysza się obracając:

— Cóż nastąpiło potem?

— Nadzwyczajne oziębienie...

— Umysłów?

— Aury, kochany hrabio. Opuściwszy Wilno, dygotaliśmy z zimna w swych lekkich płaszczach. Jechać zas musieliśmy literalnie po trupach końskich, których setki i tysiące zalegały pola i drogi w obrębie kilkumilowym. Były to ofiary gwałtownej zmiany temperatury, długotrwałych slot i — głodu.

— Głodu mówisz, panie Macieju?

— Głodu, kochany hrabio.

— Czembże były żywione, proszę acana?

— Póki starczyło zielonego zboża na polach, to tem zbożem; później i owej zielenizny zabrakło.

— A furaż, proszę acana?

— Furażu transporty albo spóźniały się, albo w drodze ginęły — albo ich wcale nie było.

Chodkiewicz głową kręcił, zżymał się...

— Tuszę — niecierpliwie rzekł — że przynajmniej ludziom prowiantu nie braknie.

— Różnie z tem bywa. Wszelako, dzięki Bogu, jeszcze głodu nie cierpią.

— A co będzie potem, panie Macieju? Co będzie potem, proszę acana?

Odpowiedzi nie było.

Wodziński gruby zegarek z kieszeni wyciągnął, spojrzał nań, do ucha przyłożył. Wskazywało to aż nadto wyraźnie, że mu wieczerza już pachnie i nęci łóżko wygodnie posłane.

Wstali obaj i skierowali się ku wyjściu.

Rozmowa, doprowadzona do punktów drażliwych i niebezpiecznych, już dalej ciągnąć się nie mogła. Milczeli — choć tylko jednemu milczenie było ulgą: drugiego o pasyę tłumioną przyprawiało.

Gry na plac Rzeczypospolitej wyszli, już gmach Teatru Narodowego był oświetlony i publiczność tłumnie na przedstawienie ciągnęła. Chodkiewicz wbrew zwyczajowi do teatru nie poszedł, lecz zawrócił na Miodową wprost do swego pałacu.

Ostatnie jego słowa, przy żegnaniu się z towarzyszem, brzmiały:

— Droga dobra czy zła, panie Macieju, już nam *usque ad finem* iść nią trzeba. Ja com postanowił, spełnię. Własnym sumptem pułk piechoty wysztyftuję, i sam, proszę acana, dowództwo nad nim obejmę...

ROZDZIAŁ IV.

Korpus piąty.

Na krańcach rozciągłej wsi białoruskiej w okolicach Mira, w pobliżu Romanowa, w zadymionej izbie starego, napół rozwalonego domostwa, grono oficerów polskich różnej broni i różnego stopnia walną odbywało naradę.

Tu się zeszli, bo tu była „kwatera“ kapitana Mroczka; kapitan zaś z trojga rzeczy słynął: z upodobań poetyckich, z wielkiej gościnności i z posiadania baryłki rumu oraz ordynansa, umiejącego przyrządzać dobry poncz ułański.

Pito ów poncz i palono fajki — narada zaś odbywała się w sposób niezwykły, gdyż przy jednoczesnem wszystkich przemawianiu, które pono słuszniej krzyczeniem nazwaćby wypadało. Nikt tu innego nie słyszał, i jak się zdaje słyszeć nie starał się. Wszakże nie po to się zeszli, żeby słuchać, lecz, żeby gadać.

Nie było tu pułkowników, generałów i żadnych zgoła szefów, nikt przeto nie czuł się w obowiązku być zapiętym na wszystkie guziki. Większość nawet, aby z guzikami nic zgoła nie mieć do czynienia, pozrzucała mundury.

Nie było tu ani wielkiego zbytku, ani nadmiernej wygody — wogóle przygodne to leże nic z Kapuą nie miało wspólnego.

Poncz grzał się w sporym miedzianym kociołku, od kucharza obozowego pożyczonym. Krótko ostrzyżony, z wąsami sterczącemi, sługa kapitana warząchwią na długim trzonie mieszał trunek, rozlewając go w podstawiane nieustannie naczynia. Wśród ostatnich nie widziało się ani złotych czar, ani kryształowych pucharów — nadtłuczone szklanki, garnuszki bez ucha, nawet wątpliwego pochodzenia miseczki i imbryczki miejsce ich zastępowały. A zastępowały z powodzeniem, nikt się bowiem na brak wykwintu nie uskarżał.

Kilku tylko najszczęśliwszych znalazło miejsce na kulawej ławie pod ścianą; reszta, naśladując z musu ucztujących Rzymian, spoczywała w postawie półleżącej na rozesłanych w izbie, potarganych wiązkach słomy.

Oficerowie rozprawiali, pili poncz i palili fajki na długich cybuchach. O niebezpieczeństwie zaprószenia ognia nikt nie myślał. Czemże było spłonięcie jednej rudery w chwili, gdy obracały się w zgliszcza całe wsie i miasta!

Pod niskim pułapem dym zwisał gęstą chmurą. Aby mu dać ujście na zewnątrz, otwierać okien nie potrzebowano. Już oddawna one były wyrwane z zawias i wyrzucone.

Dzień był lipcowy, duszny. Do izby wpadały co chwila z pobliskich ulów pszczoły, które jednak dym ostry do natychmiastowej ucieczki zmuszał. Wytrwalsze od nich muchy całemi rojami, z brzękiem głośnym latały po izbie, obsiadając czoła i nosy pijących.

Z muzyką owadów łączyły się płynące z zewnątrz głosy trąbek i bębnów, rżenie koni, dalekie urywane słowa komendy, rytmiczne tętnienie ziemi pod ciężkiemi stopami maszerujących żołnierzy.

Co kilka minut grzechotały w oddaleniu stłumione salwy karabinowe. Mało na one zważano. Gdy ktoś świeżo przybyły wzrokiem zapytywał kolegów, objaśniano go:

— To z kozuniami ucierają się Sasy i Westfalczyki...

I wołano o świeże fajki, o nowe porcye ponczu.

Wszyscy już powąchali prochu, na głos wystrzałów przestali reagować. Wszyscy już z księciem Józefem byli w ogniu: pod Nowogródkiem i pod Mirem. Mir przyniósł zwycięstwo. Nowogródek porażkę — jedno i drugie było drobne, marne, nie odpowiadające zupełnie ogromowi rozpoczętej kampanii.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przepowiednia kabalarki.

Z oryginału angielskiego przełożyła M. K.

3)

Sylwia wstała, zapłaciła rachunek, i opuściła willę; jakże tu przyjemnie i spokojnie było!

Nagle zegar uderzył pierwszą — a ktoś przechodzący zdjął przed nią kapelusz — czy ukłon ten był dla niej? Tak, był to ten młody człowiek z willi du Lac, który równocześnie z nią jadł śniadanie.

I znów Sylwia zadziwiła się bardzo, bo zamiast spojrzeć na nią, jak nawet ten wesoły mieszczanin rano czynił, z którym jechała pociągiem, przeszedł mimo, nie podnosząc ócz i znikł wkrótce w uliczce prowadzącej do kasyna.

Do kasyna? ale to tu miała poszukać Annę Wolską Jakże głupio z jej strony zapomnieć o tem. Po krótkiej chwili wahania skierowała kroki do kasyna.

Zapłaciwszy franka wstępu, znalazła się Sylwia w hali kasyna de Lacville. Usługujący zbliżył się do niej, aby odebrać parasolik i płaszcz od kurzu.

— Czy życzy pani sobie zaraz wejść na salę gry? — zapytał usłużnie.

Sylwia potaknęła, wszakże tam miała Annę znaleźć.

Z dziwną ciekawością postępowała za przewodnikiem, przeszli tak długi z luksusem urządzony korytarz i zatrzymali się w sali, gdzie tłum ludzi zgromadził się przed zielonym stołem.

Sylwia obejrzała się nieśmiało, ale nikt jej nie zauważył, co ją znów niemile dotknęło. W Lacville zdawali się wszyscy być ślepi na jej obecność.

Przeszła przez kilka sal, patrząc uważnie na grających, ale pani Wolskiej nie było między nimi, tego Sylwia była pewna.

Wreszcie służący w liberyi kasyna zbliżył się do niej:

— Życzy pani sobie spocząć? — zapytał — mogę wystarać się o krzesło w kilku minutach.

Ale Sylwia potrząsnęła głową. Nie miała najmniejszego zamiaru spocząć.

— Przyszłam tylko poszukać przyjaciółki — rzekła — ale jej nie ma tutaj.

Rozczarowana opuściła salę, kiedy nagle ujrzała panią Wolską w korytarzu, idącą ku niej w towarzystwie starszego mężczyzny.

— Więc to już napewno — usłyszała Sylwia jej głos — pan załatwi formalności, a kiedy przyjadę karta wstępu dla mnie będzie gotowa. Ta gra w salach nie dla mnie, lublę tylko wielką grę — i uśmiech wesoły ukazał się na jej licach.

Człowiek towarzyszący jej uśmiechnął się także, jak gdyby powiedziała dowcip, i skłoniwszy się, odszedł.

— Sylwia!

— Anna!

— Przyjechałaś po mnie? Nigdy nie myślałam, aby cnotliwą Sylwię ujrzeć kiedy w salach gry — rzekła Polka wesoło — ale kiedy już tu jesteś, zabawmy się razem, nie zarezykowałabyś kilka franków?

Zwróciły się do sali, a Anna pociągnęła Sylwię do stolika.

— To zabawka — rzekła — nie mogę zrozumieć jak inteligentni Paryżanie mogą tutaj soboty i niedziele przepędzać, nie mówiąc już nic o innych dniach.

— Ale dużo pieniędzy wygrywają — odpowiedziała Sylwia przypominając sobie kupki złota, widziane na zielonych stołach.

— O tak bezwątpienia, ale to tylko przypadkiem. Zaaranżowałam właśnie klub z właścicielem pensyonatu, w którym będę mieszkać — a potem zrozumiawszy, że Sylwia nie pojmuje, dodała:

— Tak, drogie dziecko, są dwa sposoby grania, jak zresztą w każdym innym kasynie we Francyi. Najpierw ta gra, którą nazywam dziecinną zabawką, gra przy której kilka franków wygrać lub stracić można, a potem druga jest baccarat. To ostatnie grywają tutaj w drugiej części budynku w klubie. A ponieważ wstęp dosyć dużo kosztuje, nigdy nie ma natłoku. A ci, którzy grają w klubie, są gracze z profesyi i taką grę nazywam tylko zabawą.

Twarz Anny Wolskiej zabarwiła się różowo na samo wspomnienie gry.

Sylwia była także wzruszona. Znajdowała wszystko bardzo interesujące — mężczyźni i kobiety zajęte jedynie grą, nie patrząc na nic, choć Anna nazywała to tylko dziecinną zabawką.

Ale kiedy już miały wychodzić z kasyna, do Anny przybiegł ów w średnich latach mężczyzna, rozmawiający poprzednio już z nią.

— Wszystko gotowe — wykrzyknął — oto karta wstępu — czy mogę mieć honor wprowadzenia panią osobiście do klubu? Pani przyjaciółka może pójść także. Wszak ona nie będzie grała, prawda?

Spojrzał pytająco na Sylwię — pani czy panienka?

— Pani — odpowiedziała Anna z uśmiechem.

— Może pani z pewnością chwilkę się przypatrywać choć nie jest członkiem klubu.

Zwróciły się i poszły za przewodnikiem do pokoju klubowego. Wszystko tutaj było wytworne i eleganckie, a podłogi grubym dywanem wyłożone.

Mało osób było tylko w pokoju, może z dwanaście mężczyzn i cztery kobiety, podzieleni na grupy, rozmawiali z ożywieniem.

Ku wielkiemu zdziwieniu ujrzała Sylwia stojącego na uboczu hrabiego Paula de Vinci.

Kiedy weszła, obrócił się — ale nie poświęcał jej dalszej uwagi.

Zabawnie wyglądający starszy człowiek wyjął zegar z kieszeni.

— Jest już pół do drugiej — zawołał — czas, abyśmy rozpoczynali. Kto ma dziś bank?

— Ja trzymam bank — odrzekł hrabia de Vinci, zbliżając się do stołu.

Pięć minut potem, gra była w najlepszym biegu. Sylwia nie zrozumiała wcale baccarata — ale obserwowała gorliwie Annę, kładącą złote sztuki na stole. Współczuła z nią gorąco, kiedy złoto znikało, a cieszyła się jak dziecko przy każdej wygranej monecie.

Stały obiedwie, nie chcąc przyjąć ofiarowanych krzeseł.

Hrabia de Vinci spoglądał na nią od czasu do czasu, wyraz jego oczu nie był zimny i obojętny jak zwykle, ale pytający i smutny. — Zresztą był zupełnie zmieniony — twarz mu pobladła, tylko oczy świeciły się gorączkowo, a ręce, rozdzielające karty były bardzo silne, choć drżały nerwowo. Mimo wszystko wyglądał zupełnie inaczej, jak współgrający, zauważyła Sylwia w duszy.

Nagle i ją ogarnęła gorączka gry — miała 50 fr. w torebce.

— Myślisz, że i ja mogę postawić 10 fr. — szepnęła do Anny.

A ta się zaśmiała, odpowiadając:

— Naturalnie, spróbuj.

Sylwia postawiła 10 a po chwili otrzymała 20.

— Zostaw, i patrz co się stanie — szepnęła Anna.

Sylwia zastosowała się do rady przyjaciółki, a dużą monetę złota dołączono do poprzednich. Wzięła 40 fr. z dziwnem zadowoleniem i uciechą.

Wtem nieprzyjemna przerwa nastąpiła — jeden ze służących kasyna podszedł do Sylwii, pytając — Ma pani kartę wstępu?

Sylwia zaambarasowała się. Nie, nie miała, wszakże tylko przypatrywać się miała, a nie grać. Nieprzyjemne uczucie opanowało ją — położyła monety na stole prędko, jakby ją paliły.

Wtem nieoczekiwany obrońca znalazł się w osobie hrabiego. Kilka słów ostrych wyrzekł do służącego, który skłonił się nizko, a do grających zwracając się dodał:

— Naturalnie, że pani może grać, ja jako bankier nie mam nic przeciwko temu i życzę pani wszystkiego dobrego. Jest to pewno pani pierwsza i ostatnia bytność w Lacville. — Niech pani stawia śmiało, miejmy nadzieję, że karta szczęśliwa będzie.

Mówił do Sylwii jak do dziecka. Sylwia uczuła wdzięczność, ale mimowoli uczuła się urażona. A pani Wolska wyrzekła sztywnie:

— Dziękujemy panu — na dziś dosyć, a do Sylwii dodała. — Wyjedźmy trochę na przechadzkę, zmęczyłam się nieco.

Zwróciły się obie ku drzwiom, a dużo ciekawych ócz towarzyszyło im, póki nie znikły.

— Bardzo mnie bawi, widzieć ciebie w Lacville — jak ten pan słusznie zauważył jest to pewnie twoja pierwsza i ostatnia bytność. Co do mnie dużo czasu spędzę w kasynie jeszcze, możemy więc śmiało użyć dzisiejszej pięknej pogody.

Była trzecia godzina i bardzo gorąco. Najęły jeden z małych wózików, stojących opodal.

— Najpierw przejedziesz dookoła jeziora — rzekła pani Wolska do woźnicy — a potem do pensyonatu Malfait, w ulicy Akacyowej.

Objechawszy jezioro znalazły się znów przed kasynem i zobaczyły, że ludu fale coraz nowsze wpływały przez otwarte drzwi do przedsionka.

— Ruch trwać będzie jeszcze do dziewiątej — rzekła Anna — pomyśl droga sto dwadzieścia pociągów dziennie. Pokój, w którym cię zobaczyłam będzie dziś szczelnie zapełniony, a nawet sale klubowe, chociaż zwykle goście przychodzą tylko w soboty i niedziele. Ale, ale zapomniałam, czyś ty już po śniadaniu?

Sylwia zaśmiała się i opowiedziała o bytności we willi du Lac.

Willa du Lac? słyszałam coś kiedyś — ale to bardzo drogi pensyonat. Miejsce, które wybrałam dla siebie jest bardziej oddalone od kasyna, ale to zmusi mnie do długiej przechadzki codziennie, a to bardzo dobra rzecz. Kiedy byłam w Monte Carlo, mieszkałam daleko w Monaco, i byłam wiele zdrowsza, niż gdy mieszkałam tuż przy kasynie. Pensyonat Malfait jest bardzo tani. Płacić będę tylko 55 fr. tygodniowo za wszystko.

Skręciły teraz z drogi, okalającej jezioro i znalazły się wśród willi domków szwajcarskich, jadąc przez cieniste aleje, które Sylwii żywo Londyn przypominały.

— Zimą pewno tu nikt nie mieszka? — spytała Sylwia.

— Zimą jest Lacville zupełną pustynią. Kasyno ma tylko latem konsens i zostaje otwarte dopiero 15-go kwietnia. Naturalnie są ludzie, którzy twierdzą, że Lacville jest plagą Paryża, ale to głupstwo. Przyjeżdżający do Lacville nie są, ani lepsi, ani gorsi od tych, którzy gdzie indziej wyjeżdżają.

Powóz zatrzymał się nareszcie przed wielkim białym domem, na którym czarnemi literami był napis „Hotel — Pensyonat Malfait.“

— Oto moje tutejsze mieszkanie — nie chciałbyś przyjść zobaczyć pokoju, który najęłam od przyszłego poniedziałku.

Sylwia towarzyszyła jej z ciekawością i zainteresowaniem. Ale pensyonat Malfait nie podobał jej się, mimo, że był porządniejszy od innych pensyonatów.

Właściciel hotelu, którego Sylwia widziała już w kasynie, zbliżył się do nich, mówiąc:

— Pani przyjechała z przyjaciółką — myślę, że pani się raczy zatrzymać u nas także. Mam zachwycający pokój teraz — bo później będzie tu przepełnione. Skwary są dobre dla Lacville, bo wyprowadzają Paryżan z ich niezdrowego miasta.

Skinął na żonę, nieprzyjemnie wyglądającą osobę, mówiąc:

— Pani Wolska przywiozła tę panią, aby obejrzeć pensyonat, a może pani zamieszka u nas?

Napróżno Sylwia przecząco potrząsała głową, pokazano jej cały, ponuro wyglądający dom — mianowicie brzydkie były pokoje sypialne.

Pokój Anny wychodził na jezioro, lecz był też bez żadnego wdzięku — znajdował się przynajmniej wygodny fotel w nim i stół do pisania z przyborami.

— Angielska dama niedawno go opuściła — rzekł pan Malfait — i kupiła te meble, które mi w prezencie zostawiła. — Moja klientela jest bardzo nobliwa. Wszyscy goście, uczęszczający do kasyna, są członkami klubu.

— Dobrze — rzekła Anna wreszcie — myślę, że teraz wyjedziemy, a po godzinie spaceru wrócimy do Paryża na herbatę.

Kiedy przyjaciółki wróciły do hotelu de l'Horloge Sylwia zastała list, który zapomniano oddać rano, i w którym jej donoszono, że znajomi wybierający się do Szwajcaryi z nią razem, zmienili plan, nie mając zamiaru nigdzie wyjechać zagranicę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W płomieniach.

3) Z francuskiego tłumaczyła M. P.

— A jeżeli ktoś chciał z numeru 6 wyjść, aby w ogóle wyjść z hotelu — czy musiał przechodzić koło ciebie?

— Bezwarunkowo!

— Czy oprócz tej damy przechodził jeszcze ktoś inny?

— Tak! — zawołał Józef żywo — jeden pan, młody, wysoki brunet.

Wiesz zkąd wyszedł? Było to przed wyjściem tej damy?

— Tak, wyszedł on z pewnością z sali!

— Możesz mi dokładnie powiedzieć, jak wyglądał?

— Zdaje mi się, że poznałbym go zaraz, — odrzekł Józef. — Wysoki, brunet, bez wąsa — tak, poznałbym go bez wątpienia.

— Oprócz tych dwojga osób nikt tędy nie przechodził?

— Nikt!

— Jesteś tego pewny?

— Najzupełniej!

— Dobrze, możesz odejść!

Józef odetchnął głęboko i był już przy końcu kurytarza, gdy komisarz jeszcze go raz przywołał.

— Jak była ta kobieta ubrana? — zapytał.

— Ach wspaniałą miała suknią, — zawołał Józef żywo, — wycięty stanik, prześliczne koronki i...

— Nie, ja chcę wiedzieć, jaki miała płaszcz! Nie zdjęła go w numerze 6?

— Nie, zostawiła go w garderobie na dole.

— W garderobie! — zawołał komisarz, zrywając się z krzesła. — Wielki Boże! Prędko! Nie rozumiecie — —

Ten wybuch gniewu zniewolił Józefa do rozwinięcia nadzwyczajnej szybkości w nogach. Jak szalony zbiegł ze schodów i wrócił po chwili, zadyszany i zmęczony, z oznajmieniem, że dama z numeru 6 zostawiła w garderobie płaszcz i torebkę skórzaną i że te rzeczy jeszcze się tam znajdują.

Coś przynajmniej! — szepnął Pouget i udał się sam na dół, do garderoby.

Płaszcz z różowego jedwabiu, haftowany i koronkami oszywany, świadczył o wytwornem atelier, z jakiego pochodził, lecz żadnych nie dawał wskazówek co do jego właścicielki. Torebka, również elegancka, z skóry brazylijskiej jaszczurki, o złotym zameczku, nie zawierała nic, co mogłoby naprowadzić na ślad poszukiwanej kobiety. Było w niej kilka prób materyi, trochę pieniędzy i niewyznaczona chusteczka.

— Zostawcie te rzeczy tutaj, — rzekł Pouget. — Może być, że ktoś przyjdzie po nie, a gdyby tak było, wtedy — to już należy do Gibelina. Teraz idźmy do Amerykanów.

Było już kwadrans na jedenastą i humory towarzystwa dochodziły do szczytu wesołości, gdy nagle zapanowała głęboka cisza i wszystkie głowy do drzwi się zwróciły. Zabrzmiał tam donośny głos komisarza policyi. Coś musiało się stać, coś niezwykłego — widać to było po twarzach kelnerów, którzy z przerażeniem patrzyli na komisarza i dwóch idących za nim policyantów.

— Co u licha, — szepnął jakiś młody Amerykanin, który co dopiero śpiewał wesołą narodową pieśń, — czy chcą nas tu aresztować?

— Panowie, — odezwał się Pouget uroczyście, — żałuję bardzo, że przerywam waszą wesołą zabawę, tem więcej, że obchodzicie, jak słyszę, święto narodowe, niestety jednak muszę wypełnić obowiązek, niecierpiący zwłoki. Podczas kiedy państwo bawiliście się tu i śpiewali, stósownie do waszego wieku i okazyi, stało się w waszej najbliższej blizkości coś okropnego...

Tu umilkł i spojrzał badawczo na zgromadzonych, jak gdyby z twarzy ich wyczytać chciał odpowiedź na niewymówione pytanie.

— Stoję tu, — zaczął znowu groźnie, — jako przedstawiciel prawa przed wami, bo mam wszelkie powody przypuszczania, że zabawa wasza ma związek z zbrodnią, którą przed godziną mniej więcej popełniono tu, w tej restauracyi!

Oskarżenie było tak straszne, że wszyscy milczeli, lecz gdy pierwsze przerażenie minęło, podniosły się tu i owdzie głosy oburzenia i protestu.

Ale komisarz wnet zaradził temu.

— Proszę o spokój! — krzyknął. — Kto siedział tam? — dodał, wskazując na próżne miejsce przy stole.

Oczy wszystkich zwróciły się na próżne krzesło i ciche szepty rozległy się w koło.

Komisarz kazał sobie podać narysowany plan stołu i rzekł:

— Przeczytam wszystkie umieszczone tu nazwiska i proszę panów meldować się.

Wśród natężonej uwagi obecnych czytał jedno nazwisko po drugiem i po każdem szybka następowała odpowiedź:

— Jestem!

— Ryszard Kildale! — czytał komisarz.

Odpowiedzi na to nie było.

— Ryszard Kildale! — powtórzył głośniej.

Milczenie.

— Ah! — szepnął, i znów czytał dalej.

— Więc panowie jesteście tu wszyscy, — rzekł, skończywszy listę zgromadzonych, — oprócz pana Kildale. On był tu i odszedł. Muszę wiedzieć, dlaczego odszedł i kiedy — przedewszystkiem — kiedy! Muszę wiedzieć, jak się zachowywał, i co mówił przed odejściem do panów — słowem — muszę wiedzieć wszystko, co mi panowie o nim powiedzieć możecie. Proszę mi wierzyć, że wyświadczycie mu najlepszą przysługę, jeżeli powiecie mi wszystko szczerze i otwarcie. Jeżeli jest niewinnym, to prawda najwięcej mu pomoże.

Po tych słowach rozpoczęło się długie badanie bez żadnego rezultatu. Ryszarda Kildale znało kilku tylko obecnych tu panów i to bardzo pobieżnie, nikt więc nie mógł komisarzowi dać bliższych o nim wyjaśnień. Zeznano, że zachowywał się zupełnie spokojnie i że nie mówił nic nadzwyczajnego. Odszedł około dziewiątej, nie wszyscy nawet zauważyli jego odejście. Pouget dowiedział się tylko tyle, że Kildale przybył mniej więcej przed rokiem do Paryża i że bardzo

miłym i sympatycznym jest człowiekiem, że z początku miał drogie mieszkanie, że zmienił je potem, i że nie pokazywał się już tak często w klubie amerykańskim. Gdzie mieszka obecnie, tego nikt nie wiedział.

Po spisaniu tych niedostatecznych wiadomości oświadczył komisarz gościom, że mogą iść do domu, z czego też wszyscy natychmiast skorzystali.

Teraz zaczął komisarz wypytywać służbę o Kildala, lecz tylko portyer przypomniał sobie, że o dziewiątej widział jakiegoś pana, który koniecznie żądał, aby mu przywołano dorożkę. Portyer radził mu, przez wzgląd na burzę, zaczekać, ale ów pan podniósł kołnierz od paletota, wybiegł na ulicę, nie zważając na ulewny deszcz i wskoczył do przejeżdżającej właśnie dorożki.

Gdy śledztwo było już na ukończeniu, wpadł jeden z policyantów z oznajmieniem, że jakiś młody człowiek przyszedł do garderoby po rzeczy damy z numeru 6.

— Zawołajcie mi Józefa, — rozkazał komisarz, a gdy kelner przyszedł, polecił mu, aby się dokładnie przyjrzał temu człowiekowi i spokojnie pozwolił mu odejść. — Czy pan Gibelin wie już o tem?

— Tak!

— Więc niech wyda stosowne rozporządzenia!

Zaraz potem wrócił Józef.

— Po płaszcz i torebkę, — rzekł, — przyszedł ten sam pan, który wyszedł z sali około dziewiątej. Poznałem go natychmiast!

Był to Ryszard Kildalen.

ROZDZIAŁ IV.

Gdy Ryszard, niosąc płaszcz i torebkę, siadał do dorożki, wiedział bardzo dobrze, że zostaje mu tylko jeszcze kilka chwil osobistej wolności, i że dla tego musi zadanie swoje wypełnić jaknajprędzej. Kazał dorożkarzowi jechać na ulicę Vaugirard.

— Numeru domu nie znam, — rzekł, — ale to nic nie szkodzi. Jedźcie prędko!

Dorożkarz mruknął niewyraźnie jakąś odpowiedź i trzasnął batem, ale gdy koń ruszył, obrócił się nieznacznie i widział przez szybę, że młody człowiek otworzył torebkę i z ukrytej kieszonki kawałek wyciągnął skóry, na której wyciśnięte były duże złote litery. Ryszard chciał je najpierw zeskrobać nożykiem, lecz gdy się przekonał, że to niemożliwe, odciął całą klapę i trzymał ją w ręku, jak gdyby nie wiedział, co z nią zrobić. Nagle podniósł głowę i oczy jego spotkały się z oczami dorożkadza...

— Proszę jechać na ulicę Marsa! — zawołał.

Lecz po chwili zmienił znów rozkaz i powtarzał to tak często, że dopiero po północy stanęli przed domem na ulicy du Châtre Notredame. Ryszard nie zdziwił się wcale spostrzegłszy, że inna dorożka stanęła tam także — pociągnął tylko gwałtownie dzwonek i z płaszczem i torebką znikł w ciemnej sieni.

W tej samej chwili wyskoczył z drugiej dorożki Gibelin, ojciec Tigol i jeszcze jeden policyant.

— Zapytajcie odźwiernego, — rzekł Gibelin do Tigola, dokąd on poszedł i strzeżcie drzwi od podwórza. Jeżeli nie wróci po upływie dziesięciu minut, musimy go szukać!

Potem zbliżył się do dorożkarza, który wiózł Ryszarda i wręczył mu dziesięć franków.

— Możecie odjechać. Człowieka tego zaaresztuję natychmiast.

— Dobranoc panie Gibelin! — zawołał dorożkarz wesoło i wziął bat, aby popędzić konia.

— Zkąd wy mnie znacie? — zapytał Gibelin niezmiernie zdumiony.

— Zkąd? — rozśmiał się dorożkarz, — zapytaj pan o to pięknego Cocono!“

— — — — — — — — — —

Jakim sposobem znalazł się Ryszard w fatalnem tem położeniu?

Przybył on podług umowy z Nellie około wpół do dziesiątej do państwa Bennet, lecz smutna czekała go tu dziś niespodzianka. Pani Bennet oświadczyła mu zaraz na wstępie bardzo stanowczo, że nie może go już nadal przyjmować, ponieważ pan Groen sobie tego nie życzy. Nazwisko to nie było Ryszardowi obcem — wiedział on, że Groen był krewnym Nellie, że mieszkał w Belgii i będąc snycerzem, raz po raz do Paryża po robotę przyjeżdżał. Gdy Nellie oburzona powiedziała, że nie myśli słuchać rozkazów pana Groena, odrzekła pani Bannet z szyderczym uśmiechem, że na życzenie jego zasięgnęła informacyi o Ryszardzie i nie bardzo pochlebnych dowiedziała się o nim rzeczy.

— Czy wolno wiedzieć, czego się pani o mnie dowiedziała? — zapytał Ryszard.

— Owszem! Żyłeś pan długi czas z tego, co wygrałeś w karty i trwoniłeś pieniądze z jakąś dwuznaczną kobietą. A pan Groen, który od pięciu lat płaci nam pensyę za Nellie, nie chce, jako jej jedyny krewny i opiekun, aby zawierała bliższą znajomość z takim, jak pan człowiekiem. On ma odpowiedzialność za Nellie.

Ryszard zbladł, lecz zanim zdołał odpowiedzieć, położyła mu Nellie rękę na ramieniu i rzekła spokojnie:

— Nie mów nic, Ryszardzie, ja o niczem słuchać nie chcę. Znam ciebie i to mi wystarcza.

— Dziękuję ci, — odrzekł młody człowiek wzruszony, patrząc z miłością na śliczną twarzyczkę dziewczęcia: — Jesteś aniołem, Nellie, ale musisz słuchać, co ci powiem. Kobieta, którą widywano ze mną, nie była wcale dwuznaczną — była to kobieta zamężna, w której się zakochałem, i za którą przyjechałem do Paryża.

— Musi to być bardzo „nobliwa“ dama, — wtrąciła pani Bannet, — która z młodymi ludźmi chodzi po restauracyach!

Ryszard nie zważał na nią.

— Wyobrażałem sobie, że kocham ją, — mówił dalej, — i chciałem ją nakłonić do rozwiedzenia się z mężem. Dlatego porzuciłem moje świetne stanowisko w Nowym Yorku i — no, wiesz, jak mi się tutaj powodziło! Ale nadszedł dzień, w którym otworzyły mi się oczy; poznałem, że byłem szaleńcem, że omyliłem się na niej i zerwałem więzy. Na początku czułem się bardzo nieszczęśliwy, ale potem — poznałem kogoś, — dodał, patrząc na Nellie z nieopisaną miłością, — i od tej chwili innym się stałem człowiekiem. Nie grałem już w karty! Pracuję teraz uczciwie — kobiety tej nie widziałem od pół roku i zupełnie nowe rozpocząłem życie.

— Kto tam panu zaraz uwierzy! — zawołała pani Bannet pogardliwie. — Z tem wszystkiem wynoś pan się teraz. Jutro napiszę do pana Groena.

Nagle zapukano do drzwi i odźwierna z listem stanęła na progu.

— Dla pana Kildale, — rzekła. — Od pewnej pani, która w dorożce czeka przed domem! W wyciętej sukni, bez kapelusza i bez płaszcza...

Ryszard tymczasem przeczytał list i stał jak skamieniały. Twarz jego śmiertelnie była blada.

— Boże Wielki! — szepnął.

— Ryszardzie! — rzekła Nellie serdecznie, ale młody człowiek zadrżał i spuścił głowę.

(Ciąg dalszy nastąpi).